Philip Francis Nowlan

Strażnicy kosmosu

(Space Guards)

Astounding Science-Fiction, May 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Nie było już żadnych wątpliwości. Linda i ja zgubiliśmy się w miazmatycznej mgle, która uniosła się bez żadnego ostrzeżenia, ponad bagnistą wenusjańską dżunglą. Błądziliśmy na ślepo między pniami gigantycznych paproci, nieustannie wikłając się w plątaninę pasożytniczych pnączy, rozciągających pomiędzy drzewami swe niekończące się pajęczyny.

Ręce nam już opadały od uderzeń ciężkimi maczetami, które zabraliśmy ze sobą, aby wyrąbać sobie drogę przez dżunglę. Obawialiśmy się, że użycie miotaczy promieni cieplnych przeciwko przesączonej wilgocią roślinności, mogłoby wzbić chmury dymu i pary, zdradzające naszą obecność.

Mgła, w tej chwili, zrobiła się już tak gęsta, że musieliśmy złapać się za ręce, aby się nie zgubić nawzajem. Co samo w sobie, oczywiście, nie było nieprzyjemne. Człowiek niezbyt często ma szansę trzymać za rękę kogoś takiego, jak Linda. Zwłaszcza jeśli jest jedynie młodszym porucznikiem Straży Kosmicznej, a posiadaczka ręki przewyższa go stopniem, jako oficer nawigacyjny statku.

Linda westchnęła:

— Bob, mam zamiar trochę odpocząć, zanim pójdziemy dalej — i natychmiast usiadła kępie bladego, żółtawego mchu.

Klapnąłem obok niej i stwierdziłem, że mech był bardzo mokry. Ale oboje byliśmy za bardzo zmęczeni, żeby się tym przejmować. Linda tylko zrobiła smutną minę i zauważyła, że powinniśmy założyć nasze porowate mundury.

— Po co w ogóle iść dalej? — spytałem. — Założę się, że i tak błądzimy w kółko.

— Wenus to piekielna planeta, co? — zadumała się ze zmęczeniem. — Tej masy chmur, tam w górze, którą nazywają tutaj stratosferą, pewnie nigdy jeszcze, od zarania dziejów, nie pokonał żaden porządny, uczciwy promień słońca.

— A tutaj, na powierzchni — mówiła dalej, — spróbuj znaleźć choćby jeden liść wyglądający zdrowo, zielono. Nic tylko ta brudna biel i błotnista żółć drzewiastych paproci, a do tego paskudne stworzenia! Brrrr! Wszystko wygląda niemal na spleśniałe! No i, nigdy byś nie pomyślał, że planeta o tyle bliższa Słońcu niż Ziemia, może być tak chłodna, co nie?

Wzruszyłem ramionami.

— To tylko pokazuje, jak dobrą izolacją jest wieczna pokrywa z pary wodnej.

Zamyśliliśmy się przez chwilę w milczeniu. Nie było żadnego, najmniejszego nawet ruchu powietrza. Nie poruszał się ani jeden z pióropuszy drzewiastych paproci, czy też liści wężowych pnączy. Wszędzie tylko cieknąca wilgoć i mokra, biała zasłona mgły, która zamknęła się wokół nas.

Nie byłem jakimś słabeuszem, a Linda, chociaż gibka i smukła, miała mięśnie jak stalowe sprężyny i aż nadto wytrzymałości. A jednak byliśmy naprawdę zmęczeni. Wyrąbywanie sobie przez pięć mil, drogi przez te twarde pnącza nie było żartem. A teraz wydawało się, że to wszystko na próżno.

— To beznadziejne próbować brnąć dalej przez tę mgłę — oznajmiła w końcu. — I chyba tylko Bóg wie, ile czasu minie, zanim ona się rozejdzie. Wracamy po omacku?

— Czy znajdziemy drogę z powrotem — sprzeciwiłem się, — kiedy ledwie widzimy ręce przed twarzą?

— Nie wiem, Bob. Pewnie to będzie bardzo powolna wędrówka, ale powinniśmy być w stanie wymacać sobie drogę powrotną, tą ścieżką, którą wycięliśmy.

— Kapitan Scudder będzie się pieklił.

— Oczywiście, wybuchnie jak bomba — przyznała Linda. — Ale on bardziej warczy, niż gryzie. Nie domaga się rzeczy niemożliwych. Poza tym, nie mamy nawet pojęcia, czy jesteśmy choćby o tysiąc mil od tajemniczego ukrytego królestwa Tigera Maddena. Raport Steve'a Hardie wskazywał, że bastion Tigera jest dosyć gęsto otoczony wioskami tubylców, a do tej pory nie widzieliśmy najmniejszych oznak jakichkolwiek ich mieszkańców, dzikich czy też cywilizowanych. Gdybyśmy byli w pobliżu ich siedzib, coś musielibyśmy zobaczyć lub usłyszeć.

— A więc, w porządku — powiedziałem, wstając. — Zobaczmy, czy damy radę wymacać sobie drogę powrotną do naszego ślizgacza rakietowego.

Wyruszyliśmy w drogę. Linda, zupełnie naturalnie, znowu chwyciła mnie za rękę. Tak jak się obawialiśmy, była to powolna wędrówka. Pnie gigantycznych paproci stały w odległości mniej więcej dwudziestu stóp od siebie, ale wysoko nad nami ich wielkie liście rozkładały się na wszystkie strony, tak że nakładały się i tworzyły praktycznie nieprzerwany roślinny dach, pod którym rosły mchy i pnącza. Te ostatnie wspinały się po łodygach paproci i zwieszały aż do ziemi, z najwyżej położonych gałęzi, jak pogmatwane, splątane sieci.

Pod nogami mieliśmy kępy rozmokłego, białawego mchu, porozdzielanego przez niezliczone wijące się, kręte strumyki i mnóstwo szerokich, głębokich stawów. Co chwila ślizgaliśmy się i upadaliśmy z pluskiem w wodę, a raz Linda w ostatniej chwili uratowała mi życie, ciosem maczety odcinając łeb wężowatego stworzenia, które wystrzeliło w moją stronę z jednego ze stawów, kiedy za blisko do niego podszedłem.

Nasze magnetyczne kompasy były bezużyteczne. Ich igły nieustannie tańczyły w przód i w tył, wskazując faktycznie cały kwadrant. Nawet małe radiolety, które powinny umożliwiać nam łączność ze Strażą Kosmiczną do odległości sto mil, a nawet więcej, nie wydawały z siebie niczego poza szumami i trzaskami, prawdopodobnie z powodu tych samych zakłóceń elektronicznych, wpływających na działanie kompasów.

Tak więc szukaliśmy drogi powrotnej po omacku, uważnie, od jednej sieci pnączy, do drugiej, dosłownie wymacując sobie w nich przejście, aż znaleźliśmy wyciętą przez nas dziurę.

— Kiedy dojdziemy do ślizgacza, najlepiej od razu startujemy prosto na statek — powiedziała Linda. — Jestem przemoczona do suchej nitki, i wiem, że ty musisz być równie mokry. Poza tym oboje możemy strzelić sobie coś na wygnanie tego chłodu z kości i zjeść jakiś gorący posiłek.

— Latać we mgle? — spytałem z wątpliwością w głosie.

— Prawdopodobnie nie sięga ona wyżej niż dach dżungli. Wylecimy ponad nią. Wtedy powinniśmy bez trudu zobaczyć górę, koło której kapitan Scudder wylądował „Orłem" – nawet jeśli radiokompas nie będzie działał.

— I oto — powiedziałem, kiedy przecisnęliśmy się przez dziurę w kolejnej sieci pnączy, — jest polana, na której zostawiliśmy ślizgacz.

Przeszukaliśmy po omacku całą polanę, we wszystkie strony, wyciągając na ślepo ręce przed siebie, aby znaleźć niewielki pojazd.

Ale ślizgacz zniknął!

II

Przez chwilę staliśmy, patrząc na siebie bezradnie. Bez ślizgacza rakietowego, mieliśmy niewielkie szanse dotarcia do statku Straży Kosmicznej. Jedyną wątłą nadzieją było ustanie zakłóceń, tak byśmy mogli nawiązać łączność, zanim będzie za późno. Ale anomalie elektryczne i mgła mogły się przeciągnąć na wiele dni, a Scudder oczekiwał naszego powrotu w ciągu kilku godzin.

Linda zaczęła przeklinać, cicho, ale ogniście, i słowa tak nie pasujące do jej słodkiego, gardłowego głosu, nabierały przez tę niezgodność jeszcze większej wagi i siły. Prawdę mówiąc, dziewczyny służące w Straży Kosmicznej, nie były grzecznymi panienkami. Pomimo wszystkich jego pomruków i pokrzykiwań, nigdy nie słyszałem nawet kapitana Scuddera, który robiłby to lepiej niż ona, kiedy tak staliśmy patrząc na siebie w tej dusznej wenusjańskiej mgle. Wiedziałem jednak, że robi to tylko dlatego, by zdusić łzy i odzyskać kontrolę nad nerwami, w obliczu paniki, zagrażającej nam obojgu.

Nagle jej oczy rozszerzyły się czujnie i urwała wpół jednego ze swoich najbardziej barwnych wybuchów. Nachyliła się do mnie i wyszeptała mi do ucha:

— Ćśśś! Czy coś słyszałeś?

A potem obejrzała się z obawą przez ramię.

Pokręciłem przecząco głową.

Znowu zaczęła szeptać, tak szybko, że ledwie ją słyszałem, chwytając mnie pod rękę i odprowadzając kilka kroków od miejsca, w którym poprzednio staliśmy. Nasze kroki, w gąbczastej masie, były bezszelestne.

— Przez chwilę zapomniałam o tym, w szoku po zniknięciu naszego ślizgacza — powiedziała, — ale, Bob, on przecież nie zniknął sam z siebie! A ktokolwiek go zabrał…

— Może czekać tutaj, na tej polance, żeby nas złapać w pułapkę, kiedy po niego wrócimy! — dokończyłem za nią.

Zaczęło mnie teraz dręczyć uczucie, że jesteśmy obserwowani, i to przez wiele oczu, chociaż nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób oczy te mogłyby przebić tę gęstą mgłę. Być może jacyś z mieszkańców tej wenusjańskiej dżungli mają takie zdolności? Zdawało mi się, iż coś sobie mgliście przypominam, że gdzieś słyszałem o…

Nie miałem jednak możliwości dokończyć tej myśli. Tym razem do moich uszu definitywnie doleciał jakiś hałas, słaby i nierozpoznawalny, z jednej strony polany, po którym szybko nastąpił kolejny, z drugiej strony.

W ułamku sekundy padliśmy jak dłudzy na ziemię, układając się w przeciwne strony, z bronią w dłoni. Atak jednak nie nadszedł z żadnego z kierunków, z których się go spodziewaliśmy. Nadszedł z góry!

Z nieprzeniknionej mgły nad naszymi głowami, ze świstem spadła wielka sieć, całkowicie nas nakrywając. Musiała być niemal tak duża, jak cała polana.

— Noże! — wysapałem, kiedy zwijaliśmy się leżąc i próbując instynktownie unieść więżące nas zwoje. Ale przytrzymywani przez nie, w naszych niewygodnych pozycjach, nie byliśmy w stanie zamachnąć się maczetą. Wtedy, prosto z mgły, zmaterializowały się magicznym sposobem jakieś dzikie postacie, rzucając się na nas.

Dwukrotnie udało nam się wystrzelić z pistoletów, ale nikogo nie trafiliśmy. Po chwili uświadomiłem sobie, że kłębiące się na nas postacie, sprytnie oplątujące nas w kolejne zwoje sieci, byli to ludzie, którzy próbują nas wziąć do niewoli nie robiąc nam krzywdy. Ci, leżący na mnie, sapali i jęczeli pod wpływem ciosów moich pięści, łokci i kolan, nie podejmując jednakże żadnych działań, żeby mi oddać, a tylko starając się przycisnąć mnie do ziemi.

— Bob, przestań się opierać! — zawołała do mnie Linda. — Oni i tak nas już mają.

Był to rozkaz i, oczywiście, wykonałem go. Pomimo, że wszystkie instynkty popychały mnie do przeciwnego zachowania, zmusiłem się, aby leżeć nieruchomo i zaniechać dalszej walki. Powoli zleźli ze mnie, co było sporą ulgą, ponieważ, jak mi się wydaje, było ich chyba z ośmiu. Ale w trakcie tego procesu, zauważyłem, że moja broń i każdy element mojego wyposażenia, który nie był na to za duży, został ze mnie ściągnięty i zabrany przez oka sieci.

Jakiś burkliwy głos odezwał się do nas w nieznajomym mi dialekcie uniwersalnego języka wenusjańskiego:

— Jesteście dobrymi wojownikami! Ale poddajecie się?

Linda gorzko się roześmiała:

— A co innego możemy zrobić? Pobiliście nas.

— Nie pobiliśmy — odparł głos z prymitywną nutą podziwu, — tylko obezwładniliśmy. Potrzeba było niemal dwudziestu z nas, żeby was przygwoździć do ziemi! — Następnie padł rozkaz: — Zwinąć sieć i niech wstaną! Ale związać im z tyłu ręce. Tigerowi Maddenowi i Valicie Lenoir, szalonym Ziemianom, nie można ufać! To rozkaz Hung-Ho-Manga!

Wstając na nogi, Linda i ja, wymieniliśmy zdziwione spojrzenia. Staliśmy zaledwie na tyle blisko siebie, żeby widzieć się niewyraźnie w oparach gęstej mgły, w której nasi porywacze znikali i szybko ponownie się pojawiali, zajęci odzieraniem nas z resztek wyposażenia, nawet z naszych metalowych hełmów z wbudowanymi radioletami. W tym samym czasie kilku kolejnych trzymało przyciśnięte do naszych pleców, ostre noże, gotowi do wbicia je w nas, przy najlżejszej oznace oporu.

Zauważyłem, że jak na Wenusjan, były to wielkie chłopy, mieli kilka cali wzrostu więcej od przeciętnych mieszkańców pochmurnej planety. Prawdę mówiąc, byli niemal tak wysocy, jak my. Bez wątpienia, musieli być to osobnicy z jednej z na wpół barbarzyńskich ras z tropikalnej dżungli. Mieli typową dla Wenusjan trupiobladą skórę i rysy twarzy tak bardzo przypominające ludzi Orientu z Ziemi. Ich jedynym ubraniem były jednakowe kilty z miękkiej, splecionej skóry, nabijane metalowymi ćwiekami, oraz pasy, z których zwisały proste noże, o grubych ostrzach, albo krótkie miecze. Do tego mieli niewielkie, silnie bijące kusze.

III

Linda i ja, zostaliśmy umieszczeni tuż obok siebie, za co byliśmy wdzięczni, ponieważ umożliwiało nam to rozmowę. W pasie przewiązano nas zwojem długiego sznura. Połowa oddziału wzięła jeden jego koniec i zniknęła z nim we mgle. Kiedy poczuliśmy, że nas ciągną, ruszyliśmy za nimi. Druga połowa grupy, zebrała się za nami, trzymając przeciwny koniec liny.

Gdzieś pośród pnączy była dziura, której nie zauważyliśmy kiedy wylądowaliśmy na polanie. Zostaliśmy przez nią, a potem i inne, przeprowadzeni w całkiem żwawym tempie. Odbywało się to tak szybko, że podejrzewałem iż ci tubylcy z dżungli naprawdę potrafili widzieć przez mgłę dużo lepiej niż my.

— Zauważyłaś nazwiska, przy użyciu których zwrócił się do nas ten ich herszt? — powiedziałem do Lindy po angielsku, kiedy szliśmy razem.

— Tak — odparła z zamyśleniem. — Nasi dzicy przyjaciele, ewidentnie nie są przyjaciółmi Tigera Maddena i Vality Lenoir, ponieważ myślą, że to my.

— Może jednak, pomimo wszystko, uda nam się obrócić tę sytuację na naszą korzyść.

— Ja również tak myślę — stwierdziła Linda. Na razie rozgrywamy to delikatnie, i zobaczymy co z tego wyjdzie.

— A co ze Scudderem i statkiem Straży Kosmicznej? — zasugerowałem.

Wzruszyła ramionami.

— Po prostu kiedy nie odezwiemy się za kilka godzin, wpisze nas na listę zaginionych w akcji. Nic na to nie możemy poradzić. Potem wyśle

innych zwiadowców, żeby spróbowali odnaleźć tropikalne imperium Tigera Maddena. Może później uda nam się uzyskać jakiś przełom i szansę skontaktowania się z nim przez radio.

— Na razie na to nie wygląda — zauważyłem ponuro.

— Nie — przyznała. Czy to był przypadek, czy celowe działanie, że kiedy maszerowaliśmy razem, jej ramię nacisnęło przez chwilę na moje? — W tej chwili jest to sprawa tylko nas dwojga, przeciwko jednemu z najpotężniejszych, najbardziej złowrogich i tajemniczych potentatów na tej przeklętej, przesiąkniętej wodą planecie – zwyciężaj albo giń – dla honoru starej dobrej Straży Kosmicznej.

Sposób, w jaki powiedziała „tylko nas dwojga”, wywołał jakieś konwulsyjne skurcze pod moimi żebrami po lewej stronie. Jedyna odpowiedź, jaką byłem w stanie wykrztusić, było to „W porządku” i nie byłem w stanie powiedzieć, czy jej ramię naparło ponownie na moje, przypadkiem czy celowo.

W miarę jak szliśmy, teren powoli się wznosił i w krótce wydostaliśmy się obszarów bagiennych. Natura drzewiastych paproci uległa zmianie. Nie wyglądały już tak bardzo, na paprocie. Rosnące rzędy pnączy przerzedziły się, a potem zupełnie zginęły, podobnie jak mokry mech pod nogami. Stopniowo mgła zaczęła rzednąć, aż wreszcie zniknęła. Później zniknęły nawet drzewiaste paprocie, zastąpione iglastymi, karłowatymi krzewami, i w końcu wyszliśmy na równinę porośniętą pod ołowianym niebem, dziwną, długą trawą. Przed nami rozciągał się olbrzymi łańcuch górski, zbocza którego pokryte były łatami roślinności o odmiennej, anemicznie zielonej barwie.

U podnóża gór, nasi porywacze poprowadzili nas doliną, wijącą się wzdłuż koryta całkiem pokaźnego strumienia, aż w końcu, po obwołaniu nas przez kryjącego się za ogromnym głazem wartownika weszliśmy do niewielkiej dolinki w której znajdowała się wioska skórzanych namiotów, wyglądających bardzo podobnie do tipi dawnych amerykańskich Indian.

Zatrzymano nas przed największym namiotem. Nasi porywacze ustawili się za nami w szereg, stając na baczność. Ich dowódca wyszedł przed nich i stanął z szeroko rozłożonymi ramionami, podczas gdy z namiotu wyłoniła się imponująca w barbarzyński sposób postać i zatrzymała się przed nami, patrząc na Lindę i mnie lekko zaintrygowanym wzrokiem.

Dowódca oddziału uderzył się z hukiem w lewą pierś i zawołał:

— Zobacz, o Hungu! Schwytaliśmy i przyprowadziliśmy do ciebie Ziemian, Tigera Maddena i Valitę Lenoir, a to potężni wojownicy. Pojmanie ich wymagało wszystkich nas! Czy dobrze zrobiliśmy?

Hung – jak się wkrótce dowiedzieliśmy, był to tytuł, a nie imię – wbił w nas przenikliwe spojrzenie i lekko się uśmiechnął.

Ciągle uśmiechnięty, odezwał się do nagle speszonego dowódcy naszych porywaczy:

— Mówisz, że to Ziemianie? Tak. Masz rację. Ale to nie Madden i Lenoir.

— Oo-Lah! — zawołał zmieszany dowódca oddziału i upadł na kolana. — Oni byli na bagnach. Znaleźliśmy ich maszynę-ptaka, taką jak te, które mają Ziemianie. Zabraliśmy ją im, im przysłaliśmy tu rozłożoną. Potem, kiedy do niej wrócili, złapaliśmy ich w sieć.

— To nie twoja wina, Gor-Kangu — odpowiedział mu hung, — ponieważ nigdy nie widziałeś Maddena ani Lenoir. Ale ja, tak. I mówię ci, że to nie są oni. Rozwiążcie ich.

Potem odwrócił się do nas, ciągle uśmiechnięty, podczas gdy kilku ludzi rzuciło się, aby wykonać jego rozkaz. Popatrzył z ciekawością na nas, a następnie na niewielki stos naszej broni i sprzętu, który został ułożony koło nas.

— Kim jesteście — zapytał.

Linda odpowiedziała:

— Jestem komandor Linda Darlington, astronawigator krążownika „Orzeł" Straży Kosmicznej Ziemi — powiedziała mu. — A to jest porucznik Bob Manley z tego samego statku.

— Hm-m-m — zadumał się hung. — Straż Kosmiczna Ziemian? Słyszałem o niej. Do tego te dziwne ubrania i dziwna broń. Tak, musicie mówić prawdę. Dlaczego byliście tam, gdzie znalazł was Gor-Kang?

Linda podjęła ryzyko.

— Nasze rozkazy polegają na odnalezieniu Tigera Maddena i Vality Lenoir — śmiało obwieściła, — oraz na aresztowaniu ich w imieniu Narodów Sfederowanych, za zdradę, masowe morderstwo i kradzież wartego miliard dolarów deltinium z kopalni na Lunie, satelicie Ziemi. Mamy prawo to zrobić, zgodnie z traktatem zawartym z wenusjańskimi hegemoniami biegunowymi, północną i południową.

Hung z zamyśleniem potarł się po policzku.

— Hegemonie nie mają tutaj jurysdykcji — odparł powoli, — ale my, Ho-Mang nie zgadzamy się, aby Madden i Lenoir zrealizowali swoje żądania i pozbawili nas wolności. Wy, z ziemskiej Straży Kosmicznej macie wiedzę i umiejętności, których Ho-Mang brakuje. Jesteście potężnymi wojownikami, jak mówi Gor-Kang. Ale my również jesteśmy potężnymi wojownikami, chociaż prości z nas ludzie. No i wszyscy jesteśmy wrogami Maddena i Lenoir. Może połączylibyśmy nasze siły?

— Tak! — zawołaliśmy razem, ja i Linda, z ogromnym entuzjazmem.

IV

Hung rozkazał, żeby zwrócono nam broń i rzeczy. Potem wydał osobliwy wysoki, wibrujący okrzyk, i mieszkańcy wioski zaczęli wylewać się ze swoich namiotów, zbierając się kręgiem wokół nas. Wpatrywali się w nas z ciekawością, połączoną z przyjaznym szacunkiem.

Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – ubrani byli jednakowo, w podobny strój, jak żołnierze, tylko bez metalowych ćwieków na skórzanych kiltach, oraz nie mieli broni i wyposażenia.

Potem, „spotkawszy” się z nami, żeby tak to określić, rozproszyli się, wracając do swoich spraw, które ewidentnie zostały przerwane przez nasze przybycie. Wielu z nich zajęło się naprawianiem ogromnej skóry luimoka, rozwieszonej nad wielkim, dymiącym ogniem. Inni mielili ziarno. Niektórzy ociosywali kamienie, nadając im odpowiedni kształt pasujący do tych osobliwych kusz. Dwóch czy trzech przy pomocy kamiennych młotów pracowicie przekuwało w prymitywnych kuźniach pasy metalu, robiąc z nich ostrza mieczy i inne potrzebne narzędzia.

W wiosce Ho-Mang było cieplej i bardziej sucho. Z ołowianego nieba napływało więcej światła i ciepła, odtajaliśmy więc trochę z zimna przygruntowej mgły bagiennej dżungli, które przeniknęło nas do szpiku kości.

Hung zaprosił nas na ceremonialną ucztę, aby przypieczętować nasz sojusz. Poprowadził nas z godnością do wielkiego kamiennego bloku, płaskiego z góry, wokół którego usiedliśmy na mniejszych kamieniach, podczas gdy służący serwowali nam na prymitywnych talerzach takie delikatesy jak wielkie kawałki mięsa luimoka, owsiankę z yaka, ciastka z mąki z ziaren boo-ya, i nieznane nam tropikalne owoce z Wenus. Barbarzyńska etykieta wymagała byśmy podczas posiłku zachowali absolutne milczenie. Ale kiedy tak próbowaliśmy tego i tamtego, czasami z bardzo zaskakującym wynikiem, Linda posłała mi szereg wiele mówiących spojrzeń. Mieliśmy już doświadczenia z delikatnymi epikurejskimi potrawami z cywilizowanych regionów polarnych, ale to tropikalne menu było dla nas czymś nowym.

Mięso luimoka, jak należało oczekiwać, było gruboziarniste, z lekkim, oleistym, gadzim posmakiem; może nie smaczne, ale było do przyjęcia, po doprawieniu tropikalnymi przyprawami. W sumie, tego posiłku pewnie nie dało się określić, jako przepysznego, ale byliśmy głodni, a nektar z owoców o nazwie ipsong i podane w pucharkach wydrążone pazury luimoka, były doskonałe.

Ledwie skończyliśmy, kiedy przez wieś przeszła fala nagłego podniecenia. Jeden ze zwiadowców Ho-Mang zbiegł wielkimi susami z położonego najbliżej nas górskiego zbocza. Zataczając się podbiegł do hunga i uderzył się w pierś, co wydawało się być plemienną formą powitania lub salutu, i wysapał z siebie raport, taki zadyszany, że Linda i ja nie byliśmy w stanie nadążyć za jego dialektem.

Wódz wyglądał na poważnego i zwrócił się do nas:

— On mówi, że doliną po drugiej stronie tej góry zbliża się ogromna chmara ludzi z różnych klanów, wspierana przez duży oddział najemników Maddena. Mają wielkie działa rakietowe i mnóstwo wyposażenia, które unosi się w powietrzu. Utrzymywane jest ono przez wiszące w górze kamienie i ciągnięte przy pomocy świetlnych lin.

— Podnośniki inertronowe! — Linda i ja zawołaliśmy w tej samej chwili.

— Tigger Madden i Valita nieźle się przygotowali — dodała Linda. — No cóż, a co im miało przeszkadzać, kiedy mieli to skradzione deltinium, warte miliardy.

— Czy oni wiedzą o waszej wiosce? Czy zmierzają tu, żeby was zaatakować? — spytałem.

— To możliwe — odparł hung. — Ale nie wiemy tego. Nie dalibyśmy rady się obronić, gdyby nas zaatakowali z tej góry.

— A więc sami zajmijcie jej wierzchołek — zasugerowała Linda. — I to wy przeprowadźcie na nich atak z góry!

— To dobry pomysł! — odparł. — Przecież to nasi wrogowie. Czemu mielibyśmy czekać, żeby dowiedzieć się, czy to nas właśnie szukają. Bardzo dobry pomysł, naprawdę. — Wyraźnie się rozjaśnił.

Jeśli nawet wolno myślał, to z całą pewnością wolno nie działał. Jeden ostry rozkaz i dwie trzecie wioski, włączając to młodsze kobiety i starszych chłopców, zebrało się w prostym szyku, oddział za odziałem, na otwartej przestrzeni wokół swojego namiotu. Wszyscy byli w pełni uzbrojeni w krótkie miecze i kusze. A w chwilę później wspinali się już po stromym zboczu.

Hung podążył za nimi, w towarzystwie Lindy i moim. Rozpiąłem kaburę mojego pistoletu rakietowego i przesunąłem pas na biodrach tak, by uchwyt maczety mniej więcej spoczywał pod ręką. Linda spojrzała na mnie rozbawiona, z lekkim uśmieszkiem na twarzy.

Dotarliśmy na wierzchołek góry, zanim weszła na niego kolumna nieprzyjaciela. Zgodnie z zasadami, powinni mieć oddziały skrzydłowe, idące wyżej po zboczu góry, ale nie mieli i wątpiłem, czy ich misja naprawdę związana była konkretnie z Ho-Mang. To tylko jeszcze bardziej zwiększało szanse zaskoczenia ich.

Jako pierwszy nadciągał oddział ludzi zebranych z różnych klanów, w sile setki żołnierzy. Wyglądali oni bardzo podobnie do Ho-Mang, ale byli od nich znacznie lepiej uzbrojeni. Przez ramiona mieli przewieszone strzelby rakietowe i podwójne bandoliery z amunicją. Szli swobodnym, pewnym krokiem ludzi z dżungli.

Dalej maszerowali najemnicy, ludzie w większości słabszej postury, prawdopodobnie wyrzutki i uchodźcy z bardziej cywilizowanych regionów biegunowych. Bez wysiłku ciągnęli za sobą w powietrzu siedem dużych dział rakietowych, waga których była starannie równoważona przez siłę nośną bloków inertronu. Holowali za sobą również inne ciężary, których nie mogłem zidentyfikować z dużej odległości. Wyglądało to na jakąś aparaturę mechaniczną lub naukową.

Ludzie ci byli w pełni umundurowani i mieli na sobie solidne pancerze, których ciężar zdawał się łatwy do uniesienia. Prawdopodobnie miały one wbudowane pewne ilości inertronu, równoważącego niemal w całości ich wagę, jak sobie wyobrażałem.

Za nimi zbliżał się kolejny oddział klanowców, wyekwipowany tak jak pierwszy.

Linda i ja leżeliśmy na ziemi obok hunga, tylko od czasu do czasu unosząc głowy, żeby zerknąć w dół na nieprzyjaciela.

— Będziecie uważnie obserwować — poprosił przywódca Ho-Mang — i wskażecie nam nasze błędy?

Zgodziliśmy się, że będzie mógł skorzystać z naszych porad, ale w starciu, które nastąpiło potem, nie widzieliśmy zbyt wielu możliwości poprawienia taktyki Ho-Mang, biorąc pod uwagę naturę terenu i prymitywny charakter ich uzbrojenia. W rzeczywistości, sądzę, że więcej nauczyliśmy się od nich, niż oni od nas.

V

Z miejsca, w którym leżeliśmy obok hunga, Linda i ja widzieliśmy jak Ho-Mang rozstawiają się po naszych bokach, nie unosząc głów, aby nie dostrzeżono ich z maszerującej w dole kolumny.

Członkowie plemienia kryli się w niewielkich grupkach za licznymi głazami i odłamkami skalnymi, które porozrzucane były na grzbiecie góry.

Linda szturchnęła mnie w bok.

— Zauważyłeś to? — spytała.

Spojrzałem uważnie w jedną i w drugą stronę linii. Zauważyłem pewną dziwną rzecz, ale jeszcze nie potrafiłem powiedzieć czy miała ona jakieś znaczenie.

— Dobrze się ukryli za tymi głazami — odparłem. — Wszyscy są gotowi, jak sądzę, do zbiegnięcia po zboczu i rzucenia się na wrogą armię, w zaskakującym ataku. I… I wielu z nich zdaje się teraz trzymać oszczepy, których nie mieli, kiedy wchodzili tu z wioski.

— Oszczepy? — uśmiechnęła się do mnie.

— No cóż, wyglądają na trochę ciężkie, jak na oszczepy — przyznałem.

— To nie są oszczepy. To łomy! A czy zauważyłeś, że kobiety i dzieci zajęły miejsce za tymi występami skalnymi? Za głazami, z łomami, zgrupowali się mężczyźni, którzy są silniejsi. A co te głazy robią na szczycie góry? Zobacz, one są niemal idealnie zaokrąglone! Bob, znalezienie czegoś takiego tutaj, jest nienaturalne z geologicznego punktu widzenia. One zostały tu przyniesione, tyle że nie zauważyłeś ich początkowo, pośród tych wszystkich skał!

Wtedy zrozumiałem o co chodzi, na chwilę przed tym, zanim Ho-Mang rozpoczęli całą akcję.

Nikt nie wydał żadnego sygnału, przynajmniej ja go nie zauważyłem. Hung z pewnością się nawet nie ruszył, nie wydał też żadnego okrzyku. Prawdopodobnie cała rzecz była przygotowana wcześniej i przećwiczona. W każdym razie, bez żadnego ostrzeżenia, pod naporem przyczajonych za nim wojowników, jeden z tych wielkich głazów, powoli się poruszył, a następnie zaczął się toczyć w dół, nabierając coraz bardziej prędkości.

Niewielka grupa, która go zepchnęła, upadła natychmiast na ziemię, wciskając się w nią, jak tylko mogli.

W dole, zaskoczeni ludzie w kolumnie usłyszeli go i odwrócili się, patrząc, jak podskakujący i trzęsący się głaz pędzi, jak żywa torpeda w stronę ich tylnej straży. Wojownicy, do których zbliżał się ten pocisk, złamali swoje szeregi i rozbiegli się w panice.

Potem, kiedy wszystkie oczy zwrócony były ku miejscu zagrożenia, kilka kolejnych głazów poruszyło się i zaczęło pędzić z hukiem w dół zbocza.

Jak do tej pory, żaden z wojowników Ho-Mang nie pokazał się ludziom ze znajdującej na dole kolumny. Ich oficerowie nadal nie wiedzieli, że stali się celem desperackiego i sprytnego ataku. Najemnicy nawet nie spróbowali podciągnąć swoich dział rakietowych i wprowadzić ich do akcji. Zamiast tego, nadal ciągnąc je za sobą w powietrzu, próbowali uciec na przeciwległe zbocze.

— To zabawne — skomentowała Linda. — Ci ludzie ewidentnie są doświadczonymi żołnierzami. Niespodziewany atak wroga, nie wywołał wśród nich nawet śladu paniki. Powinni mieć te działa zaprzodkowane i gotowe do działania w ciągu paru sekund. Ale są kompletnie zdemoralizowani, uciekają szaleńczo przed lawiną kamieni!

— Zgadzam się, że są okropnie zdezorganizowani — powiedziałem. — Kiedy zorientują się z czym mają do czynienia, wejście do akcji zajmie im sporo czasu.

Całą kolumnę ogarnęło gwałtowne zamieszanie. Dwu, trzytonowe głazy, którym towarzyszyła burza mniejszych kamieni i odłamków skalnych, uderzały w nich z niszczącym skutkiem. Wielu z nich zostało zmiażdżonych i poranionych.

Teraz jednak, Ho-Mang, nie próbowali się już dalej kryć. Każda grupa starała się jak najszybciej wypchnąć z delikatnej równowagi kolejny wielki pocisk, i otwarcie biegła do następnego. Wszyscy już podnieśli się, a ci którym nie przydzielono zadania spychania kamieni, stali spokojnie z bronią w ręku, czekając na sygnał do ataku.

— A co z tym, Linda? — spytałem, kiedy parę wielkich dział rakietowych, wymknęło się z ręki rannym lub przerażonym najemnikom i odpłynęło powoli w górę jak wielkie wypuszczone balony. — Jesteśmy dostatecznie dobrymi strzelcami, żeby dostać paru tych gości. — Przesunąłem swoją kaburę.

— Nie! — ostro poleciła, chwytając mnie za ramię. — Niektórzy z nich mogliby to zauważyć, nawet pomimo paniki i jakiś niedobitek mógłby zanieść wieści Tigerowi Maddenowi i Valicie. Oni wiedzą, że Ho-Mang nie mają pistoletów rakietowych! Właściwie hung nie poprosił nas, byśmy wzięli udział w tej bitwie, a więc możemy trzymać się w ukryciu! Ciągle mamy misję do wykonania, przecież wiesz!

Kiedy ostatnie z przygotowanych kamieni popędziły z hukiem w dół, hung ostro dmuchnął w gwizdek i Ho-Mang z dzikim wrzaskiem ruszyli po zboczu, śladem wywołanej przez siebie lawiny. Wykrzykując swój okrzyk

bitewny „Ho-Mang Oo-Lah”, kobiety i chłopcy spadli na nieprzyjaciela jak dzikie bestie, rąbiąc, tnąc i pchając swoimi ciężkimi mieczami.

Wątpię, czy klanowi wojownicy na dole byli świadomi ataku Ho-Mang, zanim ci na nich nie uderzyli, nadbiegając śladem deszczu kamieni i głazów, wyskakując z gęstych chmur pyłu, jak nagle materializujące się demony. Napotkali tylko rozproszony i rzadki ogień strzelb rakietowych.

Byłem bardzo zdumiony, widząc gwałtowność, z jaką oddział dziewcząt rzucił się na wroga, z szaleńczą odwagą wycinając i wyrąbując sobie drogę przez zdezorganizowaną kolumnę.

Wtedy siły Maddena załamały się. Porzucając swoje strzelby rakietowe, ładownice z amunicją i wszystko, co mogłoby spowalniać ucieczkę, obcy wojownicy rozproszyli się i pobiegli w górę doliny oraz po przeciwległym zboczu, zajadle ścigani przez Ho-Mang, za którymi podążały grupy chłopców, oczyszczające teren.

Nie było litości. Mniej więcej setka niedobitków, na ile mogłem to ocenić, uciekła, po prostu będąc szybsza od swoich prześladowców. Większość z nich byli to najemnicy, którzy, widząc przebieg bitwy nie próbowali nawet odholować swoich wielkich dział, ale po prostu porzucili je dryfujące w górę, a sami zbiegli w bezpieczne miejsce.

— Ho-Mang to potężni wojownicy! — oznajmił hung z prostą szczerością, kiedy osłabiony od kilku powierzchownych ran i pokryty krwią, ze zmęczeniem wspiął się z powrotem na zbocze, na którym staliśmy.

Zgodziliśmy się z nim z całego serca. Przy pomocy głazów, łomów i swoich ciężkich, krótkich mieczy, pokonali siły o połowę większe od siebie, uzbrojone w nowoczesne strzelby rakietowe i olbrzymie działa. I nie wydaje mi się, aby oddano choćby jeden strzał z kuszy.

VI

— Teraz — powiedziała Linda, kiedy wróciliśmy do obozowiska świętujących Ho-Mang, — lepiej zajmijmy się naszymi sprawami. Musimy się dowiedzieć, gdzie leży bastion Tigera Maddena i dokonać tam rozpoznania, tak by kapitan Scudder mógł ułożyć plan ataku.

— Jeżeli uda nam się znaleźć statek Straży Kosmicznej — uzupełniłem. — To absolutnie pewne, że Scudder nie będzie trzymał go na tym płaskowyżu przez wieczność. Prawdopodobnie już do tej pory stracił nadzieję na nasz powrót i odleciał stamtąd, przygotowując inne plany odnalezienia Maddena i Vality.

— Spróbujmy jeszcze raz użyć naszych radioletów — zasugerowała.

Jednak zakłócenia elektroniczne ciągle były bardzo silne i chociaż przez dłuższy czas wysyłaliśmy kod wywoławczy statku, nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, poza głośnymi trzaskami. Jeżeli nie byliśmy w stanie usłyszeć

silnego transmitera „Orła”, było mało prawdopodobne, aby oni mogli odebrać znacznie słabsze sygnały naszych niewielkich urządzeń.

Powiedzieliśmy hungowi jakie są nasze dalsze zamiary i wypytaliśmy go o kierunek siedziby Maddena. Ku naszemu rozczarowaniu, machnął tylko ręką, mniej więcej na wschód, i nie potrafił nam nic powiedzieć o samej jego siedzibie. Nikt inny z Ho-Mang nie miał dokładniejszych informacji.

Zdawało się, że wszystko co wiedzieli, to, że mniej więcej dwa lata temu – musiało być to niedługo po ucieczce Maddena i Vality z Księżyca, z ogromną fortuną skradzioną z kopalni deltinium, której Madden był kierownikiem – rozeszły się pogłoski, krążące od jednego barbarzyńskiego plemienia do drugiego, o przybyciu mężczyzny i kobiety z Ziemi, którzy ogłosili się władcami całego Sunglandu. Przekonali kilka plemion do uznania ich władzy, obiecując im wygody i potęgę cywilizacji.

Do pewnego stopnia, obietnice te były dobre. Ale razem z artykułami luksusowymi, wszelkiego rodzaju maszynami i aparaturą naukową sprowadzili także najemników rekrutowanych w resztkach północnej i południowej cywilizacji. Wśród nich byli również Ziemianie, a nawet wyrzutki z Marsa.

Trudno było powiedzieć, jak daleko mogliby rozciągnąć swoje panowanie przy pomocy pokojowych metod, gdyby nie pozwolili tym najemnikom na przekształcenie się w coś w rodzaju aroganckiej arystokracji. Ale stopniowo między plemionami zaczęły krążyć pogłoski o panującym tam okrucieństwie i niesprawiedliwości.

I w miarę jak narastały one coraz bardziej, między Ho-Mang i innymi niezależnymi klanami, które początkowo nie były tak do końca niechętne idei obiecanej pomyślności, narastał również nastrój nienawiści do tego tajemniczego „królestwa” czy też „imperium”, i determinacja do zachowania za wszelką cenę swojej wolności.

W końcu propozycje zostały złożone pośrednio również Hung-Ho-Mangowi – który odrzucił je w nie budzących wątpliwości słowach – i klan zaczął przygotowania do obrony, które włączały także pułapkę właśnie wykorzystaną przeciwko wrogom.

Dlaczego jednak biegunowe hegemonie przyglądały się z takim samozadowoleniem tworzeniu się czegoś, co groziło przekształceniem się w silny kraj tropikalny?

Poznaliśmy odpowiedź na to pytanie, zanim zostaliśmy wysłani na naszą misję. Im po prostu nie zależało. Tropiki nie wytwarzały niczego, czego bieguny by potrzebowały, albo pożądały. Nie było z nimi żadnej wymiany handlowej, ani komunikacji. Całej sprawy nie wzięto na tyle poważnie, aby „przyglądać się jej z niepokojem”. Popularnym poglądem było, że skoro para szalonych Ziemian chce się bawić w króla i królową kilku barbarzyńskich plemion, w paskudnym klimacie tropików, to niech się bawią.

Ale ani hung, ani żaden z jego ludzi, nie potrafił dać nam żadnych konkretnych informacji, odnośnie tego jak daleko i w jakim dokładnie kierunku, leżało nowe miasto Tigera Maddena.

— W takim razie — powiedziałem do Lindy, — może tracimy dobrą okazję nie ścigając niedobitków tej ekspedycji, którą właśnie rozbili Ho-Mang.

— To prawda! — zwołała. — On z pewnością pomkną prosto do domu. A przynajmniej zrobią to najemnicy. Będziemy ich śledzić, ale…

— Ale co? — przerwałem jej.

— Będziemy mieć znacznie lepsze szanse na sukces naszej misji, jeśli zrzucimy te nasze jaskrawe mundury Straży Kosmicznej. Nie projektowano ich, aby były zapewniały maskowanie w czasie kampanii w wenusjańskich tropikach – no może poza mgłą.

— Nie mamy nic innego do ubrania — zauważyłem. — Trzeba było zabrać ze sobą całą skrzynię przebrań.

— No cóż — powiedziała z powątpiewaniem, — możemy poprosić Ho-Mang, żeby dali nam trochę rzeczy, tylko… tylko niech mnie diabli, jeśli będę biegać po okolicy bez niczego powyżej pasa.

W końcu skonsultowaliśmy się z naszymi gospodarzami i dowiedzieliśmy się, że kilka mil na południe mieszka inne plemię, które szczyci się tym, że oprócz zwykłych dżunglowych kiltów nosi krótkie kurtki. Kobiety złapały się zaraz za swoje igły z cierni i miękkie kawałki skóry luimoka i wkrótce staliśmy się zupełnie niepodobni do dwójki funkcjonariuszy Straży Kosmicznej.

— To nieważne, jeśli drobne szczegóły nie będą całkowicie autentyczne — zauważyła Linda. — I tak nie ośmielimy się nikomu pokazać z bliska. Nigdy nie wybielilibyśmy sobie skóry aż tak bardzo, aby wyglądać na Wenusjan. Nie mamy też czarnych, skośnych oczu, a moje włosy są żółte. Chociaż je akurat można ukryć pod czapką.

— Ale z większej odległości, nie będziemy niepotrzebnie przyciągać uwagi — podsumowałem. — Chodźmy już. Ci uciekinierzy do tej pory musieli pokonać już kawał drogi, a przydałoby się któregoś z nich złapać.

Z wierzchu byliśmy wyposażeni jak klanowi wojownicy, w szerokie, krótkie miecze i małe, ale silne kusze. Pod spodem – kobiety Ho-Mang specjalnie poszyły w kiltach i kurtkach szereg kieszeni – mieliśmy nasze pistolety rakietowe, promienniki cieplne i radiolety. Maczety zostawiliśmy w prezencie hungowi, który potraktował je jak drogocenne podarunki.

Ruszyliśmy przez wierzchołek góry, i dalej w górę doliny, nieśpiesznym, długim krokiem, którego uczy się intensywnie w Straży Gwiezdnej. Wygląda on na powolny, ale pozwala bez zmęczenia pokonywać całe mile. Nie traciliśmy tchu na rozmowy.

Początkowo porzucona broń i elementy ekwipunku, czyniły ślady łatwymi do znalezienia. Później, w miarę jak nasza droga prowadziła stale w kierunku wyżyn, wskazówki te stawały się coraz rzadsze. Sprawę pogarszała jeszcze skąpa szata roślinna, która mogłaby zachować ślady niedawnego przejścia uciekającej hordy. Musieliśmy domyślać się, którędy iść dalej, stawiając się mentalnie w miejscu uciekinierów i wybierając najbardziej prawdopodobne kierunki ich poruszania się.

Robiło się coraz goręcej, przez cały czas wisiało nad nami to posępne, duszne, ołowiane niebo. Ale nawet na chwilę nie zwalnialiśmy kroku, ani nie zatrzymywaliśmy się aby odpocząć, i z rosnącym podziwem stwierdziłem, że Linda okazywała oznaki mniejszego zmęczenia, nawet niż ja. Dziewczyna była twarda. Tym niemniej, jeżeli już o tym pomyśleć, było to lepsze, niż wyrąbywanie sobie drogi, metr za metrem, przez roślinny gąszcz bagnistej dżungli.

Dopiero kiedy ołowiane niebo powoli ściemniało w nocne, znaleźliśmy pierwsze oznaki potwierdzające, że poprawnie domyśliliśmy się drogi, którą poruszała się nasza zwierzyna. Przed nami zamigotały punkciki światła. Ogniska obozowe!

Kontynuowaliśmy pościg, dopóki nieco nie zmniejszyliśmy dzielącej nas odległości, a potem znaleźliśmy miejsce, w którym naturalne formacje skalne zapewniały kryjówkę i częściową ochronę. Zatrzymaliśmy się tam na noc, zmieniając się na straży.

VII

Trwał właśnie najczarniejszy okres nocy, który poprzedza pierwszą szarość ołowianego nieba wenusjańskiego świtu, i Linda skulona w wygodnej niszy skalnej smacznie spała, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że coś się zbliża.

Raczej wyczułem to, niż usłyszałem.

Byłem parę stóp od skały, koncentrując się na nasłuchiwaniu i bezskutecznym wpatrywaniu w gęstą ciemność, kiedy wyczułem leciuteńkie drżenie ziemi. Nie było słychać nawet szmeru, i początkowo myślałem, że to musi być chyba moja wyobraźnia. Ale stopniowo drgania stawały się coraz bardziej wyczuwalne. Były regularne i rytmiczne, jak kroki jakiegoś niewiarygodnie potężnego olbrzyma, idącego zbyt ostrożnie, żeby go usłyszeć, ale na tyle ciężkiego, że wprawiał ziemię w lekkie drżenie. Za każdym razem kroki na chwilę ustawały, a potem ruszały dalej, powoli, ostrożnie, aż w końcu wyobraziłem sobie, że je słyszę. W dół i w górę kręgosłupa przebiegały mi dreszcze.

Tak szybko, jak tylko się ośmieliłem, w kompletnej ciemności, wymacałem drogę do Lindy. Już wcześniej się obudziła i właśnie siadała.

— Co się dzieje? — wyszeptała ostro. — Słyszę coś przez ziemię. Obudziło mnie to.

— Nie wiem — odparłem. — Posłuchaj!

Powolne, rytmiczne tupanie zbliżało się coraz bardziej. Linda zerwała się już na nogi, stając bardzo blisko mnie. Instynktownie oboje wyciągnęliśmy broń.

Podeszło jeszcze bliżej.

Wtedy, nagle, Linda wysapała:

— Patrz! Tam, w górę! — powiedziała.

Kołysząc się w ciemności, jakieś trzydzieści stóp w górze i niewiele dalej od nas, zdawały się unosić dwie lekko fosforyzujące kule, kołysząc się na tle czerni nocy!

— Oczy! — wyszeptałem.

— Luimok! — złapała powietrze. — Szybko, Bob! Zanim nas zmiażdży!

Uniosłem mój pistolet rakietowy, ale w tej samej chwili podbiła mi rękę.

— Nie! Nie z tego! Wybuch by nas odrzucił! Promień cieplny!

Zanim jeszcze skończyła mówić, wyszarpnęła swój promiennik. I niemal niewidoczny purpurowy promień przeszył ciemność, do miejsca położonego kilka stóp poniżej oczu. Oczy przez chwilę pozostawały nieruchomo, najwidoczniej skupione prosto na nas. Miejsce, w którym promień trafił w cel, zaczęło świecić na czerwonawo. Oczy gwałtownie zamrugały i zaczęły miotać się z boku na bok. Noc rozdarła straszliwa mieszanina wrzasku, ryku i wycia.

Nagle oczy zawirowały a następnie uciekły z zasięgu widoczności. Czerwone miejsce zniknęło, i zadudniły oddalające się od nas odgłosy kroków, cichnąc w oddali po niewiarygodnie krótkim czasie.

Lindzie wyrwało się ogromne westchnienie ulgi i ciężko się o mnie oparła. Musiałem otoczyć ją ramieniem, żeby nie upadła na ziemię.

— Dzięki Bogu! — odetchnęła. — On… on uciekł… a nie zaatakował.

— Bałem się, że już jest po nas — przyznałem, nieco wstrząśnięty.

Przed nami, na wschodzie, ciemno-szara poświata zaczęła delikatnie obrysowywać górskie szczyty. I z tego samego kierunku doleciał z oddali ponowny straszliwy wrzask, któremu w nieruchomym powietrzu towarzyszyły cichsze krzyki przerażonych i cierpiących ludzi.

— Chodźmy! — ostro poleciła Linda, odpychając mnie nagle. — On wpadł na jedno z obozowisk uciekinierów!

Oboje zaczęliśmy biec. Było już wystarczająco jasno, żeby uniknąć przewrócenia się o kamienie, trafienia nogą w dziurę, lub wyrwę.

— Spokojnie, Linda! — wysapałem. — Nie damy rady utrzymać tego tempa. Będziemy kompletnie wyczerpani, kiedy tam dobiegniemy!

Po moich słowach zwolniliśmy do regularnego truchtu, który jak wiedzieliśmy, byliśmy w stanie utrzymać bez przerwy, przez dwadzieścia minut do pół godziny.

— To zabawne! — skomentowałem. — Sposób w jaki ta bestia przez parę sekund przyjmowała twój promień cieplny, zanim uciekła gdzie pieprz rośnie.

— Wiem — odparła. — To trwało tak długo, ponieważ impulsy nerwowe musiały dotrzeć do jego malutkiego mózgu, a następnie, po reakcji, wrócić do mięśni. Niemal wszystkie zwierzęta na Wenus mają prymitywne organizmy, w porównaniu z ziemskimi. A… a luimok to coś… to coś podobnego do prehistorycznych… strutiomimów, zdaje się, że tak się one nazywały. Jednego z najwcześniejszych… dinozaurów.

— Taaa. Wiem o co ci chodzi. Jeden z tych zwierzaków z… z szyją i ogonem jak węże i ciałem między nimi. One… one chodziły wyprostowane, na tylnych nogach, co nie?

— Acha — chrząknęła Linda. Ich przednie nogi, były to praktycznie ręce, tak jak u luimoka, z… trzypalczastymi szponiastymi… „dłońmi”.

Zrobiło się jeszcze jaśniej, kiedy jakieś ćwierć mili przed sobą zobaczyliśmy gigantyczną sylwetkę luimoka, rozbijającego szaleńczo wszystko wokół siebie, zadającego potężne zamiatające ciosy ogonem i pochylającego się, żeby rozszarpywać coś na ziemi szponami krótkich rączek.

Zbliżając się do tego miejsca, pędziliśmy teraz tak szybko, jak tylko nogi były w stanie nas nieść, zobaczyłem, że był to biwak znacznej grupy najemników Maddena, ponieważ było tam kilka ognisk, czy też raczej ich resztek, jako że wielka bestia stratowała je, zmieniając w dymiące popioły. Klanowi wojownicy, rozpaliliby jedno wielkie ognisko, zamiast wielu małych.

Wszędzie leżało pełno zmiażdżonych nieruchomych postaci, a tu i ówdzie na tej scenie zniszczenia widać było błysk metalowego pancerza. Ci ludzie musieli zostać zupełnie zaskoczeni.

Łeb zwierzęcia, na długiej szyi, tak osobliwie przypominającej ciało węża, niestrudzenie ale powoli kołysał się i obracał, spoglądając na wszystkie strony, w poszukiwaniu jakichś nadal żyjących stworzeń, na których mogłoby ono wyładować swoją nieśpieszną furię. Nie znalazłszy nikogo, luimok wyprostował się na swą pełną wysokość i rozglądał tępym wzrokiem, tupiąc z hukiem ogromnymi nogami, wywijając nieustannie krótkimi rączkami, dziwacznymi, hakowatymi ruchami.

Wtedy zobaczył nas. Zatrzymaliśmy się w poślizgu.

Przez dłuższą chwilę przyglądał nam się złowrogo. Potem nagle pomknął w naszą stronę z zadziwiającą szybkością. I jeszcze raz powietrze przeszył diabelski wrzask.

Zbliżał się tak szybko, że Linda i ja ledwie mieliśmy czas, aby wyszarpnąć pistolety i otworzyć do niego ogień. Pojawiły się dwa oślepiające rozbłyski, kiedy nasze wybuchowe rakiety trafiły w cel. W jednym z nich zniknął jego ohydny malutki łeb. Po drugim, w jego ciele pojawiła się ogromna ziejąca dziura, przez którą można by było przecisnąć beczkę. Rozbiegliśmy się na boki, w przeciwnych kierunkach, podczas gdy jego ogromny tułów biegł przez chwilę, tak jakby nic się nie stało, a potem padł z hukiem na ziemię między nami, szaleńczo młócąc członkami i ogromnym ogonem.

Kiedy uspokoiły się ostatnie konwulsyjne drgawki bestii, poderwał nas cichy okrzyk. Jeden z najemników, który ewidentnie nie został zabity, ponieważ udawał nieżywego, wstał z ziemi i ruszył w naszą stronę.

— Dziewczyna! — wydyszałem.

Była wyższa od Wenusjan. Prawdę mówiąc, wyższa niż Linda. Włosy miała równie jasne jak Linda i nawet z tej odległości dało się zauważyć osobliwy, leciuteńki złoty odcień jej skóry.

— Marsjanka! — zawołała Linda. — Nie wygląda na kogoś, kto mógłby się bratać z najemnikami Tigera Maddena!

VIII

— No to, teraz naprawdę mamy problem — wymamrotała Linda, kiedy dziewczyna zbliżyła się do nas. — Nie możemy pozwolić jej na powrót i zameldowanie Tigerowi Maddenowi o dwójce ludzi z Ziemi węszących po okolicy w przebraniu Wenusjan!

— Możemy zabrać ją z powrotem i przekazać Ho-Mang — zasugerowałem.

— I stracić szansę śledzenia innych uciekinierów?

— Być może uda nam się zmusić ją, żeby nam wszystko powiedziała… Ale teraz ostrożnie! — wyszeptałem. — Zauważyła.

Marsjańska dziewczyna, idąca w naszą stronę ze swobodną gracją wytrenowanego sportowca, nagle zatrzymała się w odległości jakichś piętnastu stóp i zaczęła się w nas wpatrywać.

— Nie jesteście z tutejszych plemion! — stwierdziła po wenusjańsku. — Nie jesteście nawet Wenusjanami.

— Nie — przyznała bez ogródek Linda. Ja stałem i tylko się przyglądałem. Nie była przykrym obiektem do obserwacji.

— No cóż, w każdym razie — powiedziała, a jej oczy wędrowały po nas z ciekawością, — chciałam wam podziękować za uratowanie życia. Nie miałam żadnej broni w zasięgu ręki, a gdybym zrobiła choćby najmniejszy ruch żeby po jakąś sięgnąć, ta straszliwa bestia w jednej chwili stratowałaby mnie, albo rozdarła na strzępy. A więc… a więc udawałam martwą. Jesteście z Ziemi, oczywiście?

— Tak — oznajmiła Linda, wyciągając broń i spokojnie biorąc na cel rozmówczynię. — A ty jesteś Marsjanką. Co robiłaś pośród tych szumowin? I nosiłaś mundur Tigera Maddena? Nie wyglądasz na kogoś takiego. Nie! Nie ruszaj się! Jesteś aresztowana!

Marsjanka próbowała zignorować nasuwające się wnioski, ale lekko poczerwieniała. Potem wyprostowała się i dumnie uniosła głowę.

— Jestem aresztowana? — powiedziała. — Na podstawie czyjej władzy pozwalacie sobie rozkazywać…

— Na podstawie władzy ziemskiej Straży Kosmicznej! — ostro rzuciła Linda. — Jesteśmy funkcjonariuszami Straży Kosmicznej. Przybyliśmy tu, aby zabrać z powrotem na Ziemię Tigera Maddena oraz Valitę Lenoir, i postawić ich przed sądem. I to dotyczy także wszystkich ich wspólników! Nie! Nie masz najmniejszej szansy na ucieczkę i ostrzeżenie go!

Dosyć osobliwie, troska dziewczyny opadła z niej jak płaszcz. Uśmiechnęła się z ulgą.

— Steve Hardy będzie miał ubaw, kiedy o tym usłyszy — powiedziała.

Linda i ja spojrzeliśmy szybko po sobie.

— A więc, znacie go? — zauważył nasz jeniec. — To dowodzi, że mówicie prawdę, ponieważ byłoby to niemożliwe, gdybyście nie byli funkcjonariuszami Straży Kosmicznej. A, jak również musicie wiedzieć, Marsjański Rząd Imperialny wspiera w tej sprawę waszą ziemską radę.

Stąd ten mundur, który mam na sobie. — Wykonała przepraszający gest ręką. — Pracowałam razem ze Stevem Hardiem jako tajny agent, w Mad-Val, ukrytym bastionie Maddena!

— A jak się nazywasz? — dopytywała się Linda, ciągle czujna.

— Ainetsu Na Lannaigh — odparła Marsjanka. — A wasz statek, to „Orzeł”, nieprawdaż? Czy to wam coś mówi?

Mówiło. Wspominały o niej raporty Steve’a Hardie, które pokazywał nam kapitan Scudder. A było nieprawdopodobne, żeby w mieście Maddena, znalazła się jakaś inna Marsjanka, która była tak głęboko zaangażowana w intrygę przeciwko przestępcom, że znała jej nazwisko. Musieliśmy jej uwierzyć.

Linda schowała broń do kabury i wyciągnęła z uśmiechem rękę, ja zrobiłem podobnie. Przedstawiliśmy się i Ainetsu z lekkim ukłonem dotknęła palcami czoła w marsjańskim salucie wojskowym.

— To właśnie pomysł skontaktowania się z waszym statkiem — wyjaśniła Ainetsu, — spowodował, że pociągnęłam za sznurki, abym została przydzielona do tej ekspedycji – żeby wspomóc was każdą potrzebną informacją, jakiej będę mogła wam udzielić, o Mad-Val, sposobie jego obrony i zwyczajach Maddena oraz Lenoir. Steve myślał, że „Orła” będzie można gdzieś tutaj znaleźć. Miałam nadzieję, że natknę się na jakieś ślady jego bytności i zdezerteruję, zanim rozpoczniemy działania przeciwko któremuś z tych nadgranicznych klanów. Ale Ho-Mang wyśledzili wyprawę i wzięli ją z zaskoczenia. Widzieliście bitwę?

— Tak — odparłem. — Ho-Mang wykonali naprawdę niezłą robotę. Obawiam się jednak, że nie skontaktujemy się ze statkiem, a przynajmniej nie w najbliższym czasie.

— Zgubiliśmy się — wyjaśniła Linda. — I nie możemy się z nim połączyć przez nasze radiolety z powodu tej przeklętej burzy elektronicznej. Ale, może później…

— Teraz jednak — przerwałem, — naszym podstawowym zadaniem jest określenie położenia miasta i zdobycie wszystkich informacji jakie się da, o jego władcach, tak by można było zaplanować uderzenie, w nadziei ich pojmania.

— Rozumiesz — kontynuowała moją myśl Linda, — otwarty atak nie wchodzi w rachubę. Przede wszystkim, oznaczałoby to tak naprawdę rozpętanie wojny – a my jesteśmy tylko samotnym okrętem Straży Kosmicznej – a poza tym, jeżeli bitwa im źle pójdzie, Madden i Valita z pewnością porzucą swoich zwolenników i będą mieli spore szanse na skuteczną realizację planów ucieczki. Musimy przeprowadzić szybkie uderzenie, im mniejsze, tym lepiej, na tyle, na ile jesteśmy w stanie to zrobić, i wyłuskać ich tuż sprzed nosa ich własnych ludzi.

— Dokładnie — zgodziła się Ainetsu. — Prawdę mówiąc, Steve i ja kilka razy rozważaliśmy pomysł przeprowadzenia tego samemu. Złapać Maddena i Valitę – moglibyśmy, ale problemem jest ucieczka z nimi. Madden ma parę pojazdów powietrznych, lecz ich załogi śpią na pokładach, a ucieczka pieszo, przez góry i dżungle, z dwojgiem więźniów

jako obciążeniem, byłaby niemożliwością. Lojalne klany złapałyby nas niemal natychmiast.

— Ale gdzie dokładnie jest Mad-Val? — spytałem ją.

— Cztery przecinek sześćdziesiąt siedem szerokości północnej, sześćdziesiąt osiem przecinek dziewięćdziesiąt jeden długości zachodniej — powiedziała Ainetsu. — Ale moglibyście dosłownie przelecieć prosto nad nim i nawet go nie zauważyć.

— Co? — zawołaliśmy.

— To podziemne miasto, leżące głęboko pod szczytami łańcucha Kang-Sih. Wejścia głównych tuneli prowadzących do środka są dobrze zakamuflowane i położone wiele mil od samego miasta.

— A więc takie są powody tajemnicy jego położenia — zadumała się Linda.

— Nic dziwnego, że statki latające między północą a południem, przemierzające Sungland, nigdy go nie spostrzegły — dodałem.

— „Orzeł” ma pełny zestaw map Wenus? — spytała Ainetsu.

— Oczywiście — potwierdziła Linda.

— A więc możecie umiejscowić miasto bez trudu. Mniej więcej w połowie długości łańcucha, znajdziecie Szczyt Siedemnaście, Dwadzieścia Trzy i Dwadzieścia Pięć. Tworzą one nieregularny trójkąt i wznoszą się w przybliżeniu na dwadzieścia cztery tysiące stóp ponad poziom morza. Miasto jest dokładnie dwanaście tysięcy stóp litej skały, pod nimi. Jak widzicie, jest absolutnie odporne na atak z powietrza, nawet przy pomocy dezintegratorów.

— I to jak! — przyznałem z podziwem. — Największym dez-działom przebicie się tak głęboko przez skałę, zajęłoby niemal rok, nawet gdyby były zamontowane na stałych podstawach, a nie chybotały się w powietrzu.

Ainetsu przeszła do szczegółowego opisu miasta. Wejścia do głównych tuneli, w liczbie trzech na wschodnich zboczach łańcucha i dwóch na zachodnich, położone były w odległości od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu mil od miasta. Wszystkie były ukryte w wąskich wąwozach, na poziomie mniej więcej trzech lub czterech tysięcy stóp i chronione przed widokiem z góry przez zwieszające się skały, roślinność i sprytnie zaprojektowane instalacje maskujące.

IX

Przez dwa tunele, po jednym z każdej strony łańcucha gór, przebiegały szerokie autostrady o gładkiej nawierzchni, służące do przemieszczania dużych mas wojska i transportu ogromnych materiałów. Pozostałe trzy, były to podwójne rury, w których w obie strony pędziły z dużą szybkością tramwaje.

Dodatkowo funkcjonowało wiele mniejszych tuneli dla celów specjalnych. Istnienie kilku z nich było utrzymywane w tajemnicy przed

ludnością miasta, wiedzieli o nich tylko Madden i Valita, oraz kilku najbardziej zaufanych oficjeli.

Wszystkie główne tunele prowadziły w dół od miasta, jako środek zabezpieczenia przed powodzią. Ponieważ właśnie odprowadzanie wody, jak powiedziała nam Ainetsu, było jednym z największych problemów, z którym musieli sobie poradzić inżynierowie Maddena.

Samo miasto wysadzone i wy-dezintegrowane w litej skale, stanowiło zbiór idealnie klimatyzowanych korytarzy i komór, na dwóch poziomach. Zainstalowano w nich wszystkie nowoczesne udogodnienia, włączając w to wspaniały system komunikacji fonowizyjnej.

Wydzielono w nich miasto wewnętrzne, zarezerwowane wyłącznie dla władców i najemników, których nazywano Legionem, chociaż nie było ich więcej niż pięciuset. Z miasta zewnętrznego do wewnętrznego, można było przejść tylko przez cztery bramy, rozmieszczone na czterech punktach obwodu. Kwaterowały w nich cztery najbardziej cenione klany, które przyjęły władzę Maddena. Istniały jednak tajne wyjścia i tunele z wewnętrznego miasta, z których jeden, jak się okazało, miał grać specjalną rolę w naszych planach.

— To wznoszący się ukośnie tunel — opowiadała nam Ainetsu, — prowadzący prosto do prywatnego orlego gniazda, twierdzy Maddena i Vality, na samym wierzchołku Szczytu Siedemnaście, gdzie spędzają większość swego wolnego czasu. Można do niej się dostać tylko jedną windą, jej istnienie znane jest tylko garstce oficerów Legionu, a nawet im nie wolno do niej wchodzić.

Orle gniazdo, mówiła, z zewnątrz jest zamaskowane, tak by wyglądało na skalny występ, ale naprawdę zbudowano je z pomalowanego na skalną szarość impervium. Miało ono sprytnie ukryte okna z monotransu, plastiku przenoszącego światło do środka, ale nie na zewnątrz.

— Spędzają tam każdy wieczór — powiedziała, — od zmierzchu do późnej nocy. Steve i ja eksperymentowaliśmy z kawałkami monotransu. Można go bez trudu rozbić dezintegratorem, albo stopić promieniem cieplnym.

— A więc, cała sprawa powinna być bardzo łatwa — skomentowała Linda.

— Nie — zaprzeczyła Ainetsu. — Zarówno w orlim gnieździe, jak i na sąsiednich szczytach, zainstalowane zostały doskonałe detektory które pokrywają cały zakres częstotliwości drgań audio, radio i elektrono. Chwilę po użyciu promienia cieplnego lub dez-promienia, zostanie to zarejestrowane i zaatakuje nas straż. Mad-Val, jak sądzę, jest najlepiej chronioną przez detektory twierdzą, w całym Wszechświecie.

— A więc, to nas całkowicie stopuje — skomentowałem z niesmakiem.

— Nie — odparła Ainetsu. — To utrudnia nasze działania, ale Steve i ja wymyśliliśmy sposób. Monotrans nie jest na tyle twardy, by nie mógł zostać przecięty środkami mechanicznymi. Pięciu strażników u podnóża szybu, nie jest to siła na tyle duża, by nie można ich uciszyć nożami i pałkami, a jedną z rzeczy, której zewnętrzne detektory nie zarejestrują jest niewielki pojazd, z wyłączonym silnikiem, szybujący cicho i delikatnie, aby wylądować w orlim gnieździe!

— A więc, moglibyśmy zaryzykować! — zawołała z zapałem Linda.

— Jest jednak, jeszcze jeden problem — kontynuowała Ainetsu. — Przez cały czas, kiedy Madden i Valita są na górze, u podnóża szybu czeka na nich pięciu strażników. Steve i ja, sami, nie dalibyśmy im rady na tyle szybko, aby nie zdążyli użyć swoich strzelb rakietowych lub promienników cieplnych, a obie te rzeczy zostałyby zarejestrowane przez detektory.

— Czyli, innymi słowy… — zacząłem mówić.

— Potrzebujecie nas w mieście, żebyśmy wam pomogli — dokończyła Linda. — We czwórkę w każdej chwili możemy po cichutku i sprawnie załatwić pięciu Wenusjan!

— Dokładnie na tym polega plan, który ja i Steve mieliśmy na myśli — odparła Ainetsu. — To oczywiście oznacza, że muszę was jakoś przeszmuglować do miasta, zaś wy musicie skontaktować się z waszym statkiem, żeby zaaranżować lądowanie ślizgacza i zapewnić synchronizację całości z dokładnością do ułamka sekundy. Czy możecie to zrobić?

— Ho-Mang mają nasz ślizgacz — zauważyłem z nadzieją. — Oczywiście rozebrali go na kawałki, ale moglibyśmy złożyć go z powrotem.

Linda pokręciła przecząco głową.

— Nic z tego — powiedział. — Może mają wszystko, a może nie. Poza tym, potrzeba całej naszej czwórki do pokonania strażników na dole szybu.

— A więc, jak? — spytała z niepokojem Ainetsu.

Zdawało się, że na to jest tylko jedna odpowiedź. Chociaż teraz nie śmieliśmy użyć naszych radioletów, musieliśmy jakoś skontaktować się z „Orłem”, nie tylko dla realizacji naszych planów, ale aby ostrzec Scuddera przed systemem detektorów Mad-Val. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy usłyszeli ryk silników rakietowych statku, dopóki nie będziemy gotowi, do zadania naszego ciosu. To zaalarmowałoby naszych wrogów, powodując podwojenie ich czujności.

W końcu zdecydowaliśmy, że Linda i ja, wracamy do Ho-Mang, składamy z powrotem nasz ślizgacz i szukamy „Orła”, zaś Ainetsu wraca z uciekinierami do Mad-Val. Później będziemy mogli się z nią spotkać w górach, w pobliżu miasta. Ustaliliśmy czas i miejsce spotkania i wyruszyliśmy w drogę z powrotem do doliny Ho-Mang. Wydawało mi się z oddali, że Ainetsu spojrzała za nami smutnym wzrokiem, a potem odwróciła się i odeszła w stronę Mad-Val.

Pięć dni później Linda i ja wystrzeliliśmy w górę z „Orła”, który stał teraz w wąwozie, wysoko na zboczach Gór Kang-Sih, jakieś pięćset mil na północ od Mad-Val. Silniki pracowały, dopóki nie osiągnęliśmy wysokości dwudziestu mil, co zaniosło nas sto mil, w stronę naszego celu. Z tej wysokości łatwo było już pokonać pozostałe czterysta mil szybując, z wyłączonymi silnikami i z tak niewielką prędkością, że nawet super-detektory audio nie były w stanie wychwycić leciuteńkich drgań naszych skrzydeł, ślizgających się w gęstym powietrzu.

Linda siedziała za sterami, a ponieważ dotarcie do miejsca wyznaczonego przez Ainetsu miało nam zająć trochę czasu, uciąłem sobie drzemkę.

Obudziły mnie przyciszone, ale gorące przekleństwa Lindy, a potem powiedziała do mnie:

— W dole jest mgła! Z każdą minutą unosi się wyżej i robi się coraz gęstsza.

Wyjrzałem przez boczne okno. Jak okiem sięgnąć w każdym kierunku nie było widać niczego poza puszystym białym morzem kłębiących się oparów. Wszystkie góry kryły się pod jego powierzchnią, nie mogliśmy więc wziąć żadnych namiarów.

— Może to tylko chmury — zasugerowałem optymistycznie — i pod spodem jest czysto.

— Nie ma szansy, nie na tej planecie! — warknęła Linda. — Ta mgła jest tak gęsta, że można by w niej niemal pływać i mogę się założyć, że sięga dokładnie do samej ziemi.

— Gdzie teraz jesteśmy?

— Tylko jedną milę od miejsca spotkania i trzy nad nim!

Nie wyglądało to najlepiej dla naszych planów. Ainetsu jako miejsce spotkania, wybrała zalesioną dolinę, oddaloną nie więcej niż o około pół mili od jednego z sekretnych tuneli. Nie byłem sobie w stanie wyobrazić, w jaki sposób w tak gęstej mgle moglibyśmy trafić w niewielką polanę, nie rozbijając się.

— Musimy schodzić krążąc — powiedziała Linda. — Z przyrządami, jakie mamy w tym pudle z całą pewnością potrafię trafić w nią z dokładnością do trzystu metrów… ale trzysta metrów dokładności, może to być zbyt mało.

— A przecież nie możemy szybować przez wieczność, czekając aż mgła się rozejdzie.

Nagle roześmiała się, a w jej oku zabłysła iskierka.

— Musimy podjąć to ryzyko, mój drogi kolego-załogancie — oznajmiła, — a jeśli nie uda nam się wylądować w jednym kawałku – no cóż, inni podejmą naszą misję! Wchodzisz w to?

— No, dalej! — odparłem i zanurzyliśmy się w mglistym morzu.

Przez moment przebiegła przeze mnie fala paniki. Kiedy weszliśmy we mgłę, nie spoglądając na przyrządy na pulpicie sterowniczym nie można było nawet powiedzieć, czy faktycznie lecimy w dół. Linda miała je jednak stale na oku, pewną ręką trzymając stery. Jej oczy jaśniały, a na ustach błąkał się lekki zuchowaty uśmieszek. Schodziliśmy w dół po spirali, szybko.

I wtedy stało się to, czego się obawialiśmy.

Rozległ się rozdzierający trzask. Końcówka naszego lewego skrzydła, nagle zatrzymała się w miejscu. Reszta statku zawinęła się w lewo, jakby obracała się wokół osi, tak ostro, że poleciałem na boczną ścianę niewielkiej kabiny, a Linda wpadła prosto w moje ramiona. Na wpół się podnosząc, pochyliłem się, żeby osłonić ją swoim ciałem, najlepiej jak się dało, i mocno ją przytrzymałem. Szarpnęło i nastąpiło rozdzierające uderzenie, które rzuciło nas na pulpit sterowniczy. Wydaje mi się, że

zobaczyłem wszystkie gwiazdozbiory nieba, w jednym oślepiającym rozbłysku. Potem przez krótką, oszałamiającą chwilę poczułem się, jakbym spadał we wiecznej, białej, duszącej mgle i straciłem przytomność.

X

Kiedy doszedłem do siebie, jasno zdawałem sobie sprawę z dwóch rzeczy: że Linda ciągle jest w moich ramionach, oraz że ból głowy rozsadza mi czaszkę. Co do tego pierwszego, obawiałem się, że może to nie być prawdą, a co do tego drugiego, wiedziałem aż za dobrze, że jest.

Próbowałem ostrożnie otworzyć oczy. Ból stał się nie do zniesienia i musiałem je zamknąć, zanim zdołałem dojrzeć cokolwiek poza białą mgłą. Jeszcze bardziej ostrożnie, przycisnąłem mocniej do siebie gibkie ciało w moich ramionach, z uczuciem dalekim od bólu. Linda była jak najbardziej żywa, co mogłem stwierdzić bo jej równym, spokojnym oddechu. Byłem zadowolony, że musiałem tak poleżeć z jej głową spoczywającą na moim ramieniu, dopóki ból w głowie mi nie zelżeje. Nie było słychać niczego, poza miarowym kap, kap, kropel wody z drzew.

Ewidentnie Linda nie trafiła w polanę, za co zresztą trudno było ją winić. Jednak, jak zakładałem, nie mogliśmy przestrzelić zbyt dużo, ponieważ ani odrobinę nie przesadzała, kiedy mówiła, że korzystając tylko z przyrządów, jest w stanie wylądować w promieniu trzystu stóp od danego miejsca. Nasz statek musiał minimalnie zawadzić koniuszkiem skrzydła o jedno drzewo, a następnie ostro skręcić, by uderzyć nosem prosto w kolejny gigantyczny pień. Gałęzie musiały jakoś złagodzić upadek.

Znowu spróbowałem otworzyć oczy. Tym razem, głowa już mnie tak bardzo nie bolała. Uniosłem się na łokciu, tak łagodnie jak tylko mogłem, z obawy przed sprawieniem bólu Lindzie. Szybki rzut oka dookoła, pokazał mi we mgle kilka części naszego rozbitego pojazdu.

O ile mogłem to stwierdzić, Linda nie była ranna, prawdopodobnie tylko znokautowało ją tak jak mnie, uderzenie głową. Sennie otworzyła oczy, przez chwilę patrzyła prosto na mnie, a następnie westchnęła i zamknęła je z powrotem.

Otworzyła je ponownie, szeroko, popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i zastanowieniem. Potem nagle, zanim zdążyłem odezwać się choćby słowem, wykręciła się mi z ramion i zerwała się na nogi.

— Poruczniku Manley — oznajmiła surowo, — jestem bardzo zaskoczona. W pańskim zachowaniu zdecydowanie brak jest odpowiedniego szacunku dla swojego przełożonego!

— Niech diabli wezmą zachowanie! — odparłem gorąco, siedząc i piorunując ją wzrokiem z powodu jej głupiego oburzenia. — Straciliśmy przytomność w wypadku i... i nie wiedziałem, czy nie odniosłaś poważnych obrażeń!

— No dobrze — roześmiała się. — tym razem nie złożę na ciebie raportu, ale nie… nie…

— Nie, co? — odparłem wyzywająco.

— Nic — powiedziała, rzucając mi zabawne krótkie spojrzenie, które wprawiło mnie w doskonały nastrój. — Ale pamiętaj, przed nami robota do wykonania. Musimy sprawdzić, ile sprzętu uda nam się uratować z tego wraku i zobaczyć jak daleko jest polana, na której mamy spotkać się z Ainetsu.

Do tego czasu mgła się nieco przerzedziła. Stwierdziliśmy, że rozbiliśmy się niemal na krawędzi polany, której szukaliśmy, ponieważ był na niej niewielki kopczyk z kamieni, usypany przez Ainetsu, jako znak dla nas. Większość zapasów i sprzętu – tym razem zabraliśmy ze sobą całkiem niezły ładunek – było nietkniętych. Przenieśliśmy wszystko na drugi kraniec polany i schowaliśmy rzeczy w miejscu, które powinno być bezpieczne, nawet przy dość gruntownych poszukiwaniach.

Szczególnie martwiliśmy się o cztery małe, szczelnie zapakowane chronometry, które zabraliśmy ze sobą, ponieważ były one bardzo ważne dla realizacji naszych planów porwania Maddena i Vality tuż sprzed nosa ich strażników. Były one dokładnie zsynchronizowane z głównym zegarem na „Orle" i miały być używane przez Ainetsu, Steve'a Hardie oraz Lindę i mnie.

Godzina zero była uzgodniona co do sekundy. Nawet kilkusekundowe opóźnienie w lądowaniu koło orlego gniazda ślizgacza rakietowego wysłanego przez Scuddera, mogło oznaczać śmierć nas wszystkich. Równie istotne było, by detektory Mad-Val nie zauważyły go i nie podniosły alarmu, choćby sekundę wcześniej, niż moglibyśmy temu zaradzić.

Stwierdziliśmy jednak, że malutkie urządzenia elektronowe odmierzały sekundy w dokładnie równym rytmie.

Lindzie wyrwało się westchnienie ulgi.

— Dzięki Bogu! — powiedziała. — Nie będziemy musieli się tym martwić! Cała plan i tak jest dosyć desperacki, ale tylko jak najdokładniejsza synchronizacja może dać możliwość jego realizacji.

— Tak — zgodziłem się. — Kiedy już zaczniemy, żadna próba połączenia z „Orłem" nie wchodzi w rachubę, z oczywistych powodów. Nie wiadomo jaki jest zakres detektorów Maddena i jedynym bezpiecznym sposobem rozegrania całej sprawy jest nie wysyłanie żadnych drgań elektro, ani audio. Ale kiedy Ainetsu tu się pojawi?

— Nie mamy, oczywiście, żadnych dokładniejszych informacji, niż to co powiedziała nam wcześniej — odparła Linda. — Znamy więc miejsce i dzień, ale… — Wzruszyła ramionami.

— Szkoda, że nie wiemy więcej o Mad-Val — zadumałem się. — Moglibyśmy wtedy zabić czas doszlifowaniem szczegółów, kiedy będziemy czekać na…

Przerwał mi chór krwiożerczych wrzasków z drugiej strony polany, i nie mniej niż kilkunastu barbarzyńców, w szkarłatnych kiltach, będących umundurowaniem klanów Maddena, wyskoczyło na otwartą przestrzeń i rzuciło się do ataku na nas.

Kompletnie zaskoczeni, zawahaliśmy się przez ułamek sekundy.

— W tył! Do lasu! — rzuciła ostro Linda i skoczyliśmy pod osłonę drzew, sięgając po broń. Nie mogliśmy jednak uciec. Obróciliśmy się więc do tyłu i poczęstowaliśmy ich ogniem.

W tym krótkim starciu siedmiu z nich padło na ziemię. Potem, była to już tylko walka wręcz – nasze pistolety i noże-kastety, przeciwko ich krótkim, tnącym i dźgającym mieczom. A w dodatku ciągle wyli jak potępieńcy.

Dwóch z nich zaatakowało mnie jednocześnie. Rozwaliłem jednemu brzuch strzałem z bliskiej odległości i uchyliłem się przed machnięciem mieczem drugiego. Uderzyłem trzymającą nóż-kastet pięścią w bok jego szyi, kiedy obrócił się, pociągnięty bezwładnością swojego zamachu.

— Dwóch z głowy! — mój mózg odebrał podświadomie i za chwilę usłyszałem ryk naboju rakietowego z broni Lindy. — Trzech!

Szło na mnie dwóch kolejnych, byli już blisko. Wiedziałem więc, że pozostał jej jeden. Nie było czasu nawet na przelotne spojrzenie w jej kierunku. Dwaj moi, podchodzili do mnie z obu stron.

Podrzuciłem na ślepo muszkę mojego pistoletu i odstrzeliłem nogę tego po mojej prawej. Zobaczyłem, że drugi z nich kieruje ostrze swego miecza prosto w mój tułów. Instynktownie rzuciłem się do tyłu, ale moja pięta zawadziła o jeden z korzeni, wystających z mchu pod nogami i upadłem. Jego miecz zadrasnął skórę na mojej głowie i wbił się w ziemię, on zaś przeleciał nade mną i wyciągnął się jak długi.

Przekręciłem się i skoczyłem na nogi. Zobaczyłem jak spadający miecz przeciwnika Lindy wytrąca pistolet z jej odrętwiałej dłoni. Natychmiast, zanim zdołał odzyskać równowagę, rzuciła się na niego i szlochając z furii, wbiła swą trzymającą ostry nóż-kastet, małą, lewą pięść, głęboko w jego bok.

Przerzuciłem wzrok z powrotem na mojego własnego przeciwnika i stwierdziłem, że ciągle leży, oszołomiony. Odwróciłem się więc z powrotem i złapałem Lindę, która ze skąpaną we krwi ręką, potknęła się bezwładnie i wpadła w moje ramiona, ciągle histerycznie łkając.

— Ha-ha-do-diabła! — szlochała. — T-te bestie nawet nie potrafią walczyć! Zupełnie się o-otwierają, kiedy machają mieczem!

XI

Ciągle próbowałem uspokoić Lindę, chociaż nie do końca byłem pewien, jak to zrobić, kiedy usłyszeliśmy cichy szelest. Odwróciliśmy się, by zobaczyć wysoką, smukłą postać, w mundurze kapitana najemników Maddena. Była to Ainetsu. Ciągnęła za sobą na świetlnej linie tobołek unoszący się na małym podnośniku jak dziecięcy balonik.

Rozglądała się dookoła z niedowierzaniem, naliczywszy dwanaście leżących nieruchomo postaci.

— Kto urządził te jatki? — spytała z zaintrygowaną miną.

— My — odparła prosto Linda, odpychając mnie od siebie. — Zaatakowali nas... zupełnie nas zaskoczyli – co więc mieliśmy robić?

Oczy Marsjanki otworzyły się szerzej.

— Mój Boże! — zawołała. Potem, kiedy Linda odwróciła się lekko, żeby stanąć twarzą do niej: — Twoja ręka! Czy jesteś...

— To nie jest jej krew — wyjaśniłem, — tylko tego bydlaka, który tam leży.

Ainetsu odwróciła się, żeby przyjrzeć się potwornej dziurze w boku ostatniego przeciwnika Lindy.

— Ale czym to zrobiłaś?

— Swoim nożem-kastetem, oczywiście — oświadczyła Linda, trzymając rękę daleko od siebie, z wyrazem niesmaku na twarzy.

Pokazałem Ainetsu mój własny nóż-kastet, który nie był aż tak zakrwawiony i z zainteresowaniem obejrzała jego szczególną konstrukcję, z ostrą jak brzytwa klingą z impervium, biegnącą przez całą szerokość pięści. Wyjaśniłem jej, że to standardowy sprzęt ziemskiej Straży Kosmicznej do walki wręcz.

— Co za straszliwie efektywna broń! — zawołała. — I jak sprytna! Kto to wymyślił? Marjańska spisana historia sięga mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy lat wstecz, ale nigdy nie słyszałam o podobnej broni!

— No cóż — odparłem, — podstawowy pomysł jest bardzo stary na Ziemi. Starożytni Rzymianie mieli coś podobnego, nazywali to cestus. Tylko miał kolce zamiast ostrza. A thugowie w dziewiętnastym wieku, często używali kastetów z brązu, do ogłuszania nimi ludzi. Ale ostrze z impervium, to już współczesne usprawnienie.

— Och, skończ już ten wykład, Bob — przerwała mi Linda. — Jak mogę się pozbyć z siebie krwi tej świni?

— Kawałek drogi, w górze, jest strumień — zasugerowała Ainetsu. — Dopiero co przechodziłam przez niego, po drodze tutaj.

A więc obie dziewczyny zostawiły mnie moim własnym myślom, które, muszę przyznać, w tej chwili poświęcone były całkowicie podziwianiu Lindy i jej umiejętności walki, nie mniejszych, niż miała je Ainetsu. Za późno przypomniałem sobie o swoim własnym przeciwniku, który został tylko ogłuszony.

Doszedł już do siebie, odnalazł swój miecz, niepostrzeżenie podniósł się i rzucił na mnie gwałtownie, dokładnie w chwili, kiedy wiedziony nagłym przeczuciem odwróciłem się w stronę, gdzie leżał. Instynktownie wykręcając się, uniknąłem jego ostrza, ale przewróciłem się jak kręgiel pod impetem przeciwnika, i w następnej sekundzie już się zamierzył, żeby zadać mi śmiertelny cios.

W tej chwili jednak, na polanie rozległ się znajomy okrzyk: „Ho-Mang Oo-Laah!”. Brzęknęła kusza i ciężki żelazny bolec wbił mu się w głowę. Padł jak kłoda.

Lekko wstrząśnięty podniosłem się na nogi, żeby przywitać starych przyjaciół, Hung-Ho-Manga i Gor-Kanga, dowodzącego kiedyś wyprawą, która schwytała nas w bagnistej dżungli.

— Jesteś potężnym wojownikiem Bob-manley — oznajmił poważnie hung, — ale… — Wzruszył ramionami.

— Nawet potężny wojownik ma problem, kiedy wróg rzuci się na niego od tyłu — dokończył Gor-Kang.

Na to wróciły dziewczyny. Linda zmyła z siebie oznaki walki, i wydawała się wracać do normalności.

— A więc już jesteście — Ainetsu zwróciła się do pary wojowników. — To dobrze! Ilu ludzi macie ze sobą?

— Siedemdziesięciu mężczyzn i czterdzieści dziewcząt — odparł hung. — Wszyscy gotowi na śmierć, jeśli to pomoże w obaleniu fałszywego króla i królowej!

Popatrzeliśmy pytająco na Ainetsu.

— Mały dodatek Steve’a Hardiego do naszego planu — wyjaśniła, a potem zwróciła się do hunga: — Mam nadzieję, że śmierć nikogo z was nie będzie potrzebna. Zaprowadzę was w miejsce położone blisko wejścia jednego z tuneli, gdzie możecie poczekać w ukryciu. Przygotowałam bombę na zboczu góry, która wyznaczonego dnia, zostanie odpalona przez zapalnik czasowy. Kiedy usłyszycie jej wybuch, uderzycie z zaskoczenia na strażników. Narobicie tyle hałasu i poczynicie tyle zniszczeń, ile dacie radę zrobić, ale pod żadnym pozorem macie nie wchodzić w głąb tunelu, ponieważ wszystkie tunele są zaminowane. Wasz atak ma wywołać trochę zamieszania wewnątrz miasta i odwrócić uwagę, od tego co my będziemy próbowali zrobić. Czy rozumiecie?

— Zrozumieliśmy! — odparli hung i Gor-Kang.

— Gdzie są wasi wojownicy?

— Dwa langi z tyłu. Pomyśleliśmy sobie, że lepiej nie pojawiać się na miejscu spotkania w zbyt dużej liczbie.

— To był mądry ruch. Wracajcie teraz do nich i sprowadźcie ich tutaj.

Dwóch wodzów klepnęło się z hukiem w pierś, w salucie klanowych wojowników i zniknęło w lesie.

— A teraz — powiedziała Ainetsu, rozwiązując przyniesiony na podnośniku tobołek, który wcześniej przywiązała do drzewa, — to są dla was, mundury szeregowych w legionie najemników Maddena. Nie ma sensu próbować przebierać was za wojowników. Wystarczyłoby jedno spojrzenie z bliskiej odległości, żeby rozpoznać, że nawet nie jesteście Wenusjanami. Poza tym, nie zostalibyście wpuszczeni do wewnętrznego miasta, co oczywiście całkowicie niweczyłoby nasze plany. Załóżcie je na siebie i zaraz jak tylko hung wróci ze swoimi wojownikami, ruszamy w drogę.

Podeszliśmy do wlotu tunelu, z położonego nad nim zbocza góry. Było gęsto zalesione, dając dobrą osłonę. Tam Ainetsu pozostawiła Ho-Mang, którzy szybko i ze znajomością rzeczy ukryli się przed wzrokiem innych.

Potem Ainetsu, Linda i ja, zatoczyliśmy szerokie koło i podeszliśmy do stacji końcowej w tunelu, idąc z dołu wąwozem, normalną drogą, która była ukryta od góry przez zwieszające się skały i sprytnie zbudowane elementy maskujące.

Przeżyliśmy nerwowe chwile, kiedy zostaliśmy obwołani przez wenusjańskich strażników, których dowódca wyglądał na nieco bardziej czujnego i inteligentnego, niż zwykły wojownik klanowy.

— Jestem kapitan Holman, z kompanii K — wyniośle oznajmiła Ainetsu. Było to, jak wyjaśniła nam wcześniej, nazwisko pod którym była znana w Legionie.

— A tych dwoje, pani kapitan? — oficer ośmielił się zapytać, chociaż zrobił to z wahaniem. — Zgodnie z rejestrem, nie było ich z panią, kiedy pani wychodziła, i…

— Milcz, głupcze! — marsjańska dziewczyna spojrzała na niego groźnie. — To dwójka ludzi z mojej własnej kompanii, przecież inaczej by ich ze mną nie było, co? — Jej ręka z groźbą powędrowała w stronę pistoletu. — Przecz mi z drogi, albo cię stąd wyniosą!

Linda i ja, próbowaliśmy się zachowywać, jak dwójka szeregowych o kamiennych twarzach.

Z ponurą miną, strażnik odsunął się na bok i zasalutował. Wysoko unosząc podbródki, przemaszerowaliśmy koło nich i weszliśmy do tunelu, czując na plecach, jak ścigają nas nienawistne i podejrzliwe spojrzenia.

— Musicie traktować ich w taki sposób — wymruczała Ainetsu, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu strażników. — Inaczej staną się jeszcze bardziej podejrzliwi i będą myśleć, że nie jesteście tymi, za których się podajecie. Wszyscy najemnicy są wyniośli i aroganccy.

Głębiej, w wykutych w skale bocznicach, stało szereg wagonów, do przejazdu tunelem. Unosiły się one swobodnie w powietrzu, utrzymywane z dala od ścian, dzięki działaniu czterech prowadnic odpychających, które biegły przez tunel po obu bokach, oraz z góry i z dołu.

— Wsiadajcie — powiedział Ainetsu. — Zajmijcie tylne siedzenia i bądźcie sztywni i niewzruszeni, jak to tylko możliwe. W obecności oficera, powinniście być przez cały czas „na baczność". — Sama usiadła na przedzie i pstryknęła przełącznikiem.

Powoli, bezszmerowo, i bez najmniejszego wstrząsu, wagon skręcił w główne pole odpychające i zaczął nabierać prędkości, aż wiatr zaczął nam wyć w uszach. Pędził prowadzącym lekko pod górę tunelem w stronę tajemniczego miasta w sercu łańcucha gór – i w stronę najbardziej niebezpiecznej części naszej misji.

XII

Stwierdziliśmy, że Mad-Val jest naprawdę niezwykłym, miasteczkiem, nawet w naszych czasach super-nauki i podróży kosmicznych.

Ulice, oczywiście, były zaledwie korytarzami, wydezintegrowanymi w wulkanicznych skałach serca góry, o gładko wyszlifowanych ścianach i podłogach. Większość z nich miała tylko dziesięć, dwanaście stóp szerokości. W wielu zamontowano ruchome chodniki, które poruszały się w absolutnej ciszy, bez najmniejszych wstrząsów czy drgań.

Jedynie niewielka część ulic, była na tyle szeroka, by pomieścić grupy ludzi dowolnych rozmiarów. Tak to rozwiązano, jak poinformowała nas Ainetsu, ponieważ ulic było bardzo dużo, zaś te na każdym z dwóch poziomów, rozmieszczone były względem siebie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, co umożliwiało przemieszczanie się w prostej linii, niemalże z każdej części miasta, do każdej. Ponadto nie było potrzeby zbierania się dużych tłumów ludzi, ani znacznych oddziałów wojskowych, gdyż wyrafinowany system łączności, umożliwiał rozmowę dowódców z podwładnymi, zarówno indywidualnie, jak w większych grupach, w ich własnych kwaterach.

— Tutaj jest moje mieszkanie — powiedziała w końcu schodząc, z nieustannie poruszającej się platformy.

Udaliśmy się za nią. Zatrzymała się przed metalowymi drzwiami, w których jedynym naruszeniem gładkiej powierzchni, był niewielki otwór.

— To całkiem sprytne rozwiązanie, jak mi się wydaje. Czy wiedzieliście, że każdy człowiek ma różną fizyczną szybkość drżenia palca? — spytała. — Nie ma dwóch ludzi o takiej samej szybkości, tak samo jak nie ma dwóch ludzi o takich samych odciskach palców. Kiedy zamek jest ustawiony na kogoś, wystarczy tylko wsadzić palec w ten otwór, i otwiera się on przy najlżejszym dotknięciu – ale tylko tej osoby, nikogo innego.

Zrobiła to, o czym przed chwilą mówiła. Drzwi otworzyły się i weszliśmy do środka.

— Inżynierom i architektom Maddena nie można odmówić umiejętności — przyznała Ainetsu, naciskając włącznik światła. Pomieszczenie zalała różowawa poświata, która zdawała się powstawać znikąd, ale tak naprawdę emanowała zarówno z sufitu, podłogi, jak i ze ścian. — Można to zmienić na dowolną inną barwę i pożądaną intensywność — poinformowała nas.

Większość z mebli, miała charakter wbudowany, o utylitarnym ale artystycznym projekcie. Pstryknęła innym przełącznikiem. Natychmiast ściana naprzeciw nas zmieniła się w górką panoramę. Przekręciła małą tarczę o kilka pozycji. Panorama góry znikła i patrzyliśmy na ponurą wenusjańską plażę i ogromne morze. Gigantyczne paprocie drzewiaste kołysały się na wietrze, a w naszą stronę pędziły niekończące się szeregi bałwanów. Skądś dobiegał przyciszony odgłos załamujących się fal.

— To cudowne — zachwyciła się Linda. — Przysięgłabym, że patrzę na prawdziwe morze, przez wielkie, plastikowe okno.

Ainetsu podeszła do kolejnej ściany, w której zamocowane było coś podobnego do pełnowymiarowego lustra. Ale było to coś innego. Był to ekran fonowizyjny. Wybrała numer. Na ekranie pojawił się obraz innego mieszkania. W pole widzenia weszła wysoka postać. Był to wielki, szczupły mężczyzna o kwadratowej szczęce i świdrujących niebieskich oczach, który kiedy ją zobaczył, cały się rozjaśnił. Również i on miał na sobie

szkarłatny mundur oficera Legionu. Jego głos zdawał się dobiegać z samego ekranu.

— Witaj, Netsy — powiedział, spoglądając na nas z ciekawością. — Czy mam do ciebie przyjść?

— Tak — odparła Marsjanka. — Po to do ciebie zadzwoniłam.

Przerwała połączenie.

— To był Steve Hardie. Przyjdzie tu za parę minut i będziemy mogli się zająć naszymi planami.

Kiedy czekaliśmy, pokazała nam kilka innych cudów luksusowych apartamentów, w które Madden i Valita wyposażyli swoich wybranych zwolenników. Poprzez fonowizję, można było robić zakupy w centralnych sklepach. Towary były dostarczane poprzez panel, przy pomocy automatycznego systemu transportowego. Jedzenie było przygotowywane w centralnych kuchniach i przyjeżdżało do pokoju na automatycznych stołach, przez kolejny panel w ścianie. W mieście była niemal idealna kontrola wilgotności i temperatury, i przy pomocy ukrytych wentylatorów, można było otrzymać nawet przyjemny wietrzyk, z dowolnie wybranego kierunku.

— I nawet drinki — powiedziała Ainetsu, — są „na wyposażeniu domu”, jak mawiacie na Ziemi. Chcecie coś?

Oboje wybraliśmy ipsong. Ainetsu wcisnęła kilka ozdobnych przycisków obok niewielkiego panelu, i po kilku chwilach otworzył się on z trzaskiem, odsłaniając tacę z trzema kielichami.

Sączyliśmy właśnie ten lekko sfermentowany i absolutnie przepyszny nektar, którego nie można dostać na Ziemi, ani na żadnej innej planecie, kiedy od drzwi doleciało ciche brzęczenie i zapaliła się nad nimi niewielka lampka.

Ainetsu ściągnęła wargi i zagwizdała. Ku naszemu zdumieniu, drzwi zaczęły się otwierać.

— To automat — wyjaśniła. — Otwiera je gwizdnięcie. Jedyną niedogodnością jest, że nie można gwizdać w łazience. To mogłoby być bardzo krępujące. — A potem rzuciła do wysokiego mężczyzny, który wszedł do pokoju: — Cześć, Steve!

— Jakieś problemy z dostaniem się do miasta? — spytał Hardie, po prezentacjach.

— Nie. A przynajmniej, nie nazwałabym tego problemem — odparła Ainetsu. — Ale nie podoba mi się ten barbarzyńca, dowodzący posterunkiem w tunelu Wang-Ming. Ewidentnie to nowy człowiek, z przesadnym wyobrażeniem o swojej własnej ważności. Próbował coś wspominać o tym, że wyszłam sama, a wróciłam z dwoma żołnierzami. — Wskazała na nas skinięciem głowy.

— Ale szybko został sprowadzony na ziemię, po rozmowie z tobą — zauważyła Linda.

— Nie wydaje mi się jednak, żeby był z tego zadowolony — powiedziałem. — Czy jeśli złoży raport o tej sprawie, może wyniknąć z tego coś groźnego?

— Takie ryzyko jest zawsze — przyznał Hardie. — Przede wszystkim zależy to od tego, komu dokładnie o tym zamelduje. Kto dzisiaj jest oficerem dyżurnym, Ainetsu?

Marsjanka przez chwilę myślała, a potem jej oczy rozszerzyły się lekko z niepokoju.

— Vega Natsara! — zawołała. — A on mnie nienawidzi!

— Hmmm. Nie za dobrze — zadumał się Hardie. — Chętnie narobiłby ci kłopotów – i mnie, oczywiście, również – gdyby tylko mógł. Miejmy nadzieję, że nasz przyjaciel barbarzyńca zbagatelizował sprawę. Pomimo wszystko, klanowi wojownicy, którzy antagonizują legionistów, nie cieszą się zbytnią popularnością w Mad-Val.

— Ale sama mówiłaś, że to nowy człowiek, Ainetsu — wtrąciła Linda.

— I w tym przede wszystkim tkwi zagrożenie — wyjaśnił Hardie. — Weteran, już od dawna w służbie miasta, wiedziałby lepiej.

— No cóż — wzruszyła ramionami Ainetsu, — nic z tym nie możemy zrobić. Miejmy więc nadzieję, że wszystko się ułoży. Teraz widzę, że mądrzej byłoby wyjść z miasta inną bramą, a nie tą, którą miałam zamiar was wprowadzić. Ale teraz, to również już tylko pobożne życzenia. A więc, idźmy dalej i zajmijmy się naszymi planami.

Daliśmy Ainetsu i Hardiemu dwa, z czterech elektronicznych chronometrów, które przynieśliśmy ze sobą. Wszystkie nadal były ze sobą precyzyjnie zsynchronizowane.

— Ślizgacz rakietowy wyląduje koło orlego gniazda, żeby zabrać nas i jeńców, dokładnie o szóstej czterdzieści, jutro wieczorem — poinformowała ich Linda. — Musicie dostosować do tego resztę planów.

— Nie ma problemu — zauważył Hardie i przeszedł do omówienia szczegółów harmonogramu, który opracował.

XIII

Nasze problemy związane były nie tylko z pokonaniem strażników na dole windy prowadzącej do orlego gniazda, wdarciem się do niego siłą oraz porwaniem Maddena i Vality, ale wcześniej musieliśmy dostać się do wnętrza należącej do nich luksusowej części wewnętrznego miasta, ponieważ to tam znajdowała się winda wjeżdżająca do ich pomieszczeń na wierzchołku góry.

— Jest tam tylko jedno wejście — powiedziała Ainetsu, a straże są tam za silne, byśmy mogli pokonać je w czwórkę. Poza tym, w chwili, kiedy byśmy ich zaatakowali, ogłoszono by alarm i nie mielibyśmy szansy dostania się do windy.

— Musimy znaleźć jakiś pretekst, Netsy — stwierdził Hardie. — Ponieważ jesteśmy tylko dowódcami kompanii, a nie członkami Rady, trudno będzie znaleźć jakąś wymówkę.

— Och, coś wymyślimy, żeby tam się dostać — oznajmiła z pewnością siebie Ainetsu. — Tym zajmiemy się później. Najpierw powiedz jak

wygląda twój rozkład jazdy? Mówiliście, że ślizgacz rakietowy wyląduje koło orlego gniazda, dokładnie o szóstej czterdzieści, czy nie tak, Lindo?

Hardie przez parę minut intensywnie się zastanawiał.

— Wjazd windą trwa dokładnie trzy minuty — wyjaśnił, — i tyle samo czasu zajmuje zjazd wagonika w dół, ponieważ, oczywiście, Madden i Valita, będą mieli go u siebie na górze. To daje razem sześć minut. Nie możemy poświęcić, na usunięcie strażników przy windzie, więcej niż dwu minut, ponieważ wtedy na pewno ktoś by to zauważył i ogłosił alarm.

— Krótko mówiąc — wtrąciłem się, — robotę ze strażnikami na dole zaczynamy dokładnie o szóstej trzydzieści dwie, i pokładamy w Bogu nadzieję, że wierzchołek Szczytu Siedemnaście nie będzie się roił od strażników z bronią w ręku, o godzinie szóstej czterdzieści – osiem minut później?

— Osiem minut to sporo czasu — wymamrotała Linda. — Dobrze wyszkoleni żołnierze zdążyliby wkroczyć do akcji.

Ainetsu powiedziała:

— Mamy nadzieję, że Ho-Mang wywołają przedtem trochę zamieszania. Zaczną działać siedem minut wcześniej – o szóstej dwadzieścia pięć. Bomba zegarowa, która ma dać im sygnał, jest już ustawiona na zboczu góry, ponad wejściem do tunelu Wang-Ming. Jest dosyć duża i sama w sobie, powinna już wywołać trochę bieganiny.

— Szanse, że przyciągnie tak dużo uwagi, że nasz atak na strażników, pozostanie niezauważony, wynoszą dziesięć do jednego — dodał Hardie.

Ale Linda podniosła inną kwestię.

— A co z Maddenem i Valitą? — spytała. — Kiedy Ho-Mang zaatakują, oni z pewnością również otrzymają informację o alarmie, co nie? Myślicie, że będą siedzieć bezczynnie w swoim orlim gnieździe i nie zwrócą na niego uwagi?

Steve Hardie uśmiechnął się szeroko.

— Jeśli zwrócą, tym lepiej dla nas. To tylko dałoby nam więcej czasu. Będziemy przecież czekać pod windą, i jeśli zobaczymy, że wskaźnik pokazuje jej zjazd, to po prostu załatwimy strażników kilka minut przed rozkładem i kiedy drzwi do windy się otworzą, damy im po głowie!

— Zastrzegając — stwierdziłem kwaśno, — że w okolicy nie znajdzie się parę tuzinów legionistów, żeby na nas naskoczyć.

— Takie ryzyko, zawsze trzeba będzie podjąć — odparła Ainetsu, — niezależnie od tego, czy ruszymy o szóstej trzydzieści dwa, czy kilka minut przedtem. W każdym bądź razie, nie będzie to wcześniej, zanim Ho-Mang nie rozpoczną swojej dywersji.

— No cóż, myślę, że oczekiwanie, iż to wszystko da się zorganizować bez żadnego ryzyka, to byłoby zbyt wiele — przyznała Linda. — A więc, zgadzamy się na ten plan!

To Linda wymyśliła pretekst pozwalający przejść przez straże do komnat królewskich. Przed rozpoczęciem akcji pozoracyjnej Ho-Mang, Hardie i Ainetsu mieli nas zaciągnąć do bramy, z twierdzeniem, że znaleźli w swoich kompaniach parę szpiegów, których Madden będzie chciał przesłuchać osobiście.

— Dobre! — zawołał Hardie. — To powinno nam pozwolić przejść! A kiedy miniemy strażników, zaraz możecie zrzucić z siebie przebranie więźniów.

Chwilowo jednak pozostał nam okres dwudziestu czterech godzin, który ja i Linda mieliśmy spędzić w ukryciu, no i ciągle wisiało nad nami zagrożenie, że podejrzliwy dowódca u wejścia do tunelu Wang-Ming, może zameldować o powrocie Ainetsu z dwójką niewyjaśnionych towarzyszy.

Gdyby tak się stało, jak mówili nam Steve i Ainetsu, z pewnością przeprowadzono by dochodzenie, być może nawet generalne przeszukanie miasta – korytarzy i wszystkich pomieszczeń publicznych przez policję korytarzową, oraz wszystkich prywatnych mieszkań, przez Centralę Fonowizyjną.

— Najlepszym rozwiązaniem dla was, będzie się rozdzielić — zaproponowała Ainetsu, — ponieważ jeśli przeprowadzą przeszukanie, będą szukać dwojga osób, a nie jednej. Steve, ty zabierz Boba i ukryj go w swoim mieszkaniu. Ja zajmę się Lindą.

Mocno się temu sprzeciwiłem, kiedy dowiedziałem się, że większość następnego dnia Hardie i Ainetsu będą na służbie. Jeśli Linda i ja mieliśmy przez ten czas zostać sami, uważałem, że bezpieczniej dla nas będzie być „samemu razem”. Wskazywałem, że jedno z nas mogłoby zostać wykryte, a drugie nic by o tym nie wiedziało, i nasz cały plan w ten sposób zostałby zniszczony.

Ale opinia pozostałych była odmienna od mojej, aż w końcu Linda, z lekką irytacją, ubrała to w formę rozkazu. Przestałem protestować. Ale miałem złe przeczucia.

Kiedy znalazłem się sam z Hardiem, w jego mieszkaniu, które było niedaleko od kwatery Ainetsu, lecz na niższym poziomie, zacząłem rozmawiać nim o ogromnej fortunie w deltinium, ukradzionej przez Maddena i Valitę.

— Chociaż nasza misja polega przede wszystkim na aresztowaniu tej parki i zabraniu ich na Ziemię, aby postawić ich przed sądem — wyjaśniłem mu, — kapitan Scudder chętnie odzyskałby również deltinium, gdyby się dało. Uważa, że w zamieszaniu wywołanym ich schwytaniem, „Orzeł”, z pełną siłą, mógłby przeprowadzić udany atak na pozbawione przywódców miasto. Gdzie jest przechowywane deltinium?

— W ogóle nie ma go w mieście — odparł Hardie. — Jest schowane gdzieś w górach, na południe stąd. Jestem niemal pewien, że nie istnieje nawet żaden tunel, łączący to miejsce z miastem. Zauważyłem, że za każdym razem, kiedy potrzebowali większej gotówki, Madden i Valita samotnie wyruszali gdzieś w podróż, powietrzem i bez żadnych pomocników. Te podróże zawsze odbywały się w kierunku południowym.

— A więc nikt poza tą dwójką złodziei nie wie, gdzie jest ono ukryte?

Steve pokręcił głową.

— Nie ma na to szansy — odparł.

— W porządku — stwierdziłem. — Będziemy musieli znaleźć sposób, żeby zaczęli mówić.

Uśmiechnął się szeroko.

— Mógłbym zasugerować parę metod. Widziałem trochę z tego, co oni robili, jeśli chodzi o wyrafinowane tortury dla okolicznych tubylców.

Czas w Mad-Val, nie był odmierzany przy pomocy dni i nocy, ale po prostu poprzez służby, tak jak na pokładzie statku. Wkrótce więc Hardie i ja coś zjedliśmy i po kilku godzinach sympatycznej rozmowy, wcisnął parę przycisków w ścianie naprzeciwko fonowizyjnego lustra. Ze swoich wnęk bez szmeru wysunęły się panele, odsłaniając wbudowane w ścianę łóżka.

Przespałem dobrze kilka godzin. Dokładnie ile, nie wiedziałem, ponieważ kiedy się kładłem, nie spojrzałem na swój chronometr. Ale kiedy się obudziłem, zauważyłem, że była północ.

Kiedy przewróciłem się na drugi bok, żeby się lepiej ułożyć, nagle pokój wypełnił się diabelskim, jęczącym wyciem.

Z natychmiastową czujnością starych żołnierzy, nagle zerwanych ze snu w środku nocy, Hardie i ja zerwaliśmy się na nogi, chwytając za broń. Steve zaklął siarczyście.

— To alarm — wysapał. — To oznacza, że zameldowano o waszym wejściu do miasta! Każde pomieszczenie, każdy korytarz, zostaną przeszukane.

XIV

— A więc, co zrobimy? — zacząłem się dopytywać, spodziewając się, że w każdej sekundzie lustro fonowizyjne może się rozjaśnić.

Odparł szybko:

— W tym pokoju jest dokładnie jedno miejsce, którego to diabelstwo nie widzi, chociaż większość z tych tępych ciołków nie zdaje sobie z tego sprawy. Trzeba położyć się pod fonowizorem, wzdłuż ściany, w której jest zamontowany.

Nie potrzebowałem dalszych wskazówek. Rzuciłem się na podłogę, prosto pod ekranem i przetoczyłem się do ściany, mocno się do niej przyciskając.

— Dobry chłopczyk! — powiedział Steve, szybko zasuwając panel zasłaniający moje łóżko. — Tylko nie oddychaj za głośno. Jesteś dosyć blisko tego urządzenia, a mikrofon jest czuły jak diabli! I…

Nigdy nie usłyszałem reszty tego, co chciał mi powiedzieć, ponieważ nagle jasna poświata z lustra, zalała cały pokój, i zdusił wypowiadane słowa, przeciągając się i ziewając, jak człowiek, który z trudnością budzi się z głębokiego snu.

— Kapitan Rockoff! — oznajmił chłodny, lekko metaliczny głos. Tego nazwiska Hardie używał w Mad-Val.

— Taaa? — spytał Steve. — O co chodzi?

Głos oznajmił mu, że prowadzone są poszukiwania i spytał go, czy wie coś o dwójce szpiegów.

— Słucham? — zawołał Hardie udając zdumienie i podchodząc bliżej do lustrzanego ekranu. — Oczywiście, że nie! Chyba ktoś powinien mi o tym zameldować…

— Bardzo dobrze, panie kapitanie — głos przerwał mu chłodno. — Będzie pan uprzejmy pozostać w swojej kwaterze, aż do otrzymania dalszych komunikatów. Policja przeczesuje korytarze. — Rozległo się kliknięcie i światło fonowizora zgasło.

Zacząłem się podnosić, ale Hardie mnie zatrzymał.

— Zostań tam, gdzie jesteś, Manley! — ostrzegł mnie. — W każdej sekundzie mogą go ponownie włączyć. Ci z Centrali Fonowizyjnej, to podejrzliwi ludzie. Może nawet przyjdzie tu któryś policjantów, żeby dokonać osobistej inspekcji.

Zostałem w miejscu, w którym leżałem, ale bardzo się zatroskałem. Jeżeli to ten wódz plemienia z bramy Wang-Ming nasłał ich na nas – a przecież nie mógł to być nikt inny – Ainetsu zdecydowanie musiała znaleźć się w kręgu podejrzeń! A Linda była z nią, w jej mieszkaniu. Jeżeli jakieś podejrzenia mogłyby paść na Hardiego, to tylko dlatego, że wiadomo było iż „kapitan Rockoff” przyjaźni się z „kapitan Holman”.

Wyszeptałem coś na ten temat do Hardiego i zaskoczył mnie nagły strach w jego twarzy. Wiedziałem, że nie chodziło mu tylko o Lindę.

— Zdaję sobie sprawę — odszepnął, — że do tej pory, musieli już się u nich pojawić. Ale nic im nie pomożemy, jeśli sami damy się złapać. Po prostu nie możemy dopuścić do tego, by cię tutaj złapali – a na zewnątrz, na korytarzach, złapaliby cię jeszcze szybciej.

— Cóż więc nam pozostaje? — spytałem go.

— Musimy znaleźć jakiś sposób ukrycia cię tutaj.

— Ale gdzie? Nie mogę nawet schować się pod żadnym meblem. Nie mają nóg, wszystko stoi bezpośrednio na podłodze.

Wydaje mi się, że nawet mnie nie słyszał. Zatopił się w myślach. Po chwili jego twarz rozjaśniła się. Szybko podszedł i przyjrzał się zamontowanej dosyć wysoko w ścianie kracie.

— Wentylator — wymamrotał pod nosem. — Kanał prowadzi od kraty prosto w tył, poziomo. Mógłbyś się tam wcisnąć, jeśli…

— Jeśli uda nam się wyciągnąć kratę — przerwałem mu. — Nie uda nam się jej odkręcić. Chyba jest solidnie zamocowana w ścianie?

— Tak — przyznał. — Myślę jednak, że damy radę ją wyciągnąć! — Teraz poruszał się bardzo szybko. Z szafki w ścianie wyciągnął niewielki przyrząd, mniej więcej rozmiarów ołówka, który nawet podobnie wyglądał.

— Dezintegrator — wyjaśnił cicho. — Ma promień cienki jak ostrze brzytwy. Po prostu przetnę pręty kraty i zdejmę ją!

Natychmiast zabrał się do roboty. Niewielki, niebiesko-zielony promień był tak cienki, że emitował tylko słabiutką poświatę, a syczący odgłos atomowej destrukcji był praktycznie niesłyszalny.

Wspięcie się do kanału wentylacyjnego, oraz wciśnięcie się stopami naprzód do środka, wymagało trochę niezwykłej gimnastyki, ale przy pomocy Steve’a jakoś udało mi się tego dokonać.

Następnie Steve założył kratę z powrotem, używając mydła, żeby połączyć pręty i rozsmarował po niej mydło z kurzem, żeby ukryć białe

miejsca. A więc, leżałem w kanale wentylacyjnym, dosyć mocno ściśnięty, ale niewidoczny z pokoju.

Hardie szybko pousuwał wszelkie ślady pobytu w mieszkaniu kogoś poza nim. I nie zrobił tego ani odrobinę za wcześnie.

Ledwie skończył i rozłożył się leniwie w wygodnym fotelu, kiedy nad drzwiami rozbłysło niewielkie światełko i zabrzmiało ciche bzyczenie. Hardie zagwizdał i drzwi się otworzyły.

Do pokoju wpadł oddział policjantów korytarzowych, którzy zatrzymali się na środku i rozglądali ze zdumieniem. Najbardziej zdziwiony wydawał się być prowadzący ich oficer. Był to Merkurianin o hebanowej skórze i doskonałej budowie ciała.

— Aaa-leee przeeee-cież! — wysapał. — Tutaj nie ma nikogo, poza panem!

Hardie zerwał się na nogi, z oburzeniem stając z nim twarzą w twarz.

— Tak? — odezwał się zgryźliwie. — A kogo jeszcze pan się tutaj spodziewał? Dwójki szpiegów, o których Centrala mówiła parę minut temu?

Merkurianin był mocno oszołomiony. Zmieszany wymamrotał jakieś bezładne przeprosiny.

— Z pewnością rozumie mnie pan, panie kapitanie. Ja… ja tylko wykonywałem potrzymane rozkazy. Ale naprawdę dwójka szpiegów przekradła się do miasta, i…

— I pomyślał pan, że są tutaj? Czy tak?

— Nie, nie! Oczywiście, że nie, panie kapitanie, ale… eee… to jest… oczywiście, musimy przeszukać wszystkie kwatery — wyglądał na bardzo skrępowanego.

— Rozumiem — sucho odparł Hardie. — Chodziło mi tylko o formę tego przeszukania. Musieliście wpaść tu na mnie jak stado dzikich wandikoo? No dobrze, panie poruczniku. Naturalnie, że musi pan wykonywać swoje obowiązki. Proszę więc kontynuować. Ja prosiłbym tylko, aby był pan przy tym bardzo dokładny.

Pomimo swego zmieszania, oficer i jego ludzie, wykonali swoją robotę bardzo dokładnie, wychodząc w końcu z wieloma uprzejmymi przeprosinami, w trakcie których Steve mrugnął przebiegle w stronę mojej kryjówki.

Kiedy już sobie poszli, zmarszczył brwi i pokręcił do mnie przecząco głową. Zostałem więc tam, gdzie byłem. Jednak po piętnastu minutach, kiedy nic się nie działo, wyszedłem.

Hardie nieustannie krążył po pokoju.

— Nie wytrzymam już tego dłużej — powiedział. — Muszę się dowiedzieć, czy coś im się nie stało.

— Za pomocą fonowizji? — zasugerowałem.

Pokręcił głową.

— Zbyt niebezpieczne. Centrala będzie podsłuchiwać, a być może nawet także podglądać, wszystkie połączenia. Mniejszym ryzykiem będzie

pójść do Ainetsu, teraz kiedy policja przeczesała już wszystkie korytarze do tego miejsca. Chodźmy!

Nie zabrało nam to dużo czasu. Mieszkanie Ainetsu było na wyższym poziomie, w niewielkiej odległości. Hardie zadzwonił do drzwi. Nic się nie stało.

— Nie podoba mi się to — wymamrotał. — Powinny być w środku, chyba że… chyba że zostały aresztowane.

— W którym to przypadku, nasze plany się walą — stwierdziłem.

Spojrzał na mnie wściekłym wzrokiem.

— Plany? — oznajmił z oburzeniem. Po chwili, już spokojniej, dodał: — Tak, oczywiście. Ja… tylko myślałem o czymś innym.

— Czy jest jakiś sposób, abyśmy weszli do środka? — spytałem go.

— Tak — powiedział. — Drzwi są ustawione również na mnie. Przygotuj broń.

Wyciągnął również swój pistolet i włożył palec do otworu wibro-zamka. Powoli drzwi się otworzyły.

Wskoczyliśmy do pokoju. Był pusty. Drzwi zamknęły się za naszymi plecami.

Hardie wyglądał na oszołomionego. Całe to miejsce pozostawiono w idealnym porządku, niemal tak, jakby nikt tu nie mieszkał. Ewidentnie, nie było widać śladów żadnej walki.

— Dziwne! — wymruczał. — W tych okolicznościach, Ainetsu z pewnością stoczyłaby tu całą bitwę.

— Nie wydaje ci się, że musiały stąd wyjść, zanim pojawiła się policja? — spytałem.

— To możliwe — przyznał z zamyśleniem. — Ale nie mam pojęcia, dokąd mogłyby pójść. A ona nie ośmieliłaby się zostawić dla mnie informacji. Policja mogłaby ją przechwycić.

W tej chwili zdecydowanie zacząłem wychwytywać jakieś odgłosy na zewnątrz, które bardzo niewyraźnie odbierałem już od chwili, czy dwóch. Stłumione odgłosy kroków, głosy, jakiś nieokreślone poruszenia. Hardie usłyszał to w tej samej chwili i spoglądał na mnie rozszerzającymi się oczyma.

— One wyszły, zanim pojawiła się tu policja — wyszeptał. — A teraz, to właśnie policjanci!

— A my jesteśmy… w pułapce! — wydyszałem.

XV

— Jesteśmy w pułapce, to prawda! — wyszeptał Hardie. — Nic teraz nie zrobimy, ale potem spróbujemy się przebić – jeśli się uda. Do tyłu! Do łazienki!

Szybko i po cichu przeskoczyliśmy do tego tymczasowego miejsca schronienia i przyczailiśmy się tam, przygotowani do akcji, z bronią w ręku, ledwie że oddychając.

Ale drzwi na korytarz nie otworzyły się od razu. Ciągle dolatywały zza nich cichutkie głosy i szuranie nogami. Potem wszystko ucichło. Musiał chyba wydarzyć się jakiś cud. Pomyślałem sobie, że może zrezygnowali z przeszukania mieszkania Ainetsu. Ale chwilę później wiedziałem już, że się myliłem. Usłyszeliśmy, że drzwi na korytarz delikatnie się otwierają. Steve obrzucił mnie zaskoczonym i zdziwionym spojrzeniem.

Ktoś wszedł do pokoju, z pewnością, ale ewidentnie była to tylko jedna osoba!

Człowiek ten cichutko chodził po całym pokoju, tak jakby czegoś szukał. Hardie wyciągnął do mnie ostrzegawczo rękę, a potem, po chwili, wyjrzał ostrożnie zza krawędzi framugi. Szarpnął głowę do tyłu, tak jakby go coś użądliło. Marszcząc brwi, nachylił się do mnie i cichutko wydyszał mi do ucha:

— To sam Vega Natsara! Oficer dyżurny!

— Co robimy? — powiedziałem bezgłośnie wargami.

— Bierzemy go! — wyszeptał w odpowiedzi. — Wejdę do pokoju. Kiedy odwrócę jego uwagę od drzwi, wejdziesz ty i weźmiesz go na cel!

Skinąłem głową. Hardie wyszedł do pokoju. Usłyszałem zaskoczone sapnięcie Natsary i głos Hardiego:

— Witaj, Natsara — powiedział. — Co tutaj robisz?

— A-a-a, Rockoff! — wysyczał jego przeciwnik, z dziwną, ale nieobcą mi intonacją. — A więc, to ty! Mogłem się tego spodziewać! Nie! Stój daleko, albo cię zastrzelę! Wyjdziesz stąd tylko jako jeniec, prosto do komory śmierci!

Hardie roześmiał się swobodnie.

— Pod jakim to niby zarzutem, Natsara? Czy oszalałeś? I jak masz zamiar wytłumaczyć swoją obecność tutaj, w mieszkaniu kapitan Holman?

— Zarzut brzmi: zdrada! — oznajmił Natsara, swoim osobliwym, syczącym głosem. — I nie muszę ci udzielać żadnych wyjaśnień. Holman wprowadziła ze sobą do miasta dwóch szpiegów. Została złapana na gorącym uczynku przez straż w tunelu, której dowódca natychmiast mi o tym zameldował. Zastanawiałem się, jak ciebie z tym wszystkim powiązać. Już od dłuższego czasu podejrzewałem, że wasza dwójka prowadzi jakąś potajemną grę. Teraz jednak, oszczędziłeś mi kłopotów z udowodnieniem powiązań między wami. Wystarczy po prostu sam fakt, że znalazłem cię tutaj, w jej mieszkaniu.

— A więc, aresztowałeś także Holman? — Hardie oznajmił z udawanym zaskoczeniem.

— Nie. Ale sama dowiodła swej winy, wychodząc stąd po ogólnym rozkazie z Centrali, aby wszyscy pozostali w swoich kwaterach. Nie mogła uciec z miasta i nie uda jej się długo ukrywać. Mam was oboje, Rockoff! Przestań skradać się do drzwi!

Jeśli Hardie to robił, to wiedziałem, że Natsara musiał stać twarzą nieco ode mnie. Wszedłem do pokoju i wziąłem go na muszkę.

— Rzuć broń — rzuciłem ostro, — i ręce do góry!

Facet nie zrobił nic podobnego, lecz odwrócił się do mnie z zaskoczonym bełkotem. Miałem akurat tyle czasu, by zauważyć, że on również był Ziemianinem, Japończykiem – co wyjaśniało to dziwne syczenie w jego mowie – i właśnie podrywał swoją własną broń, aby strzelić do mnie, kiedy pięść Steve'a Hardiego trafiła go prosto w bok głowy. Dosłownie padł na podłogę jak długi.

— Dobra robota, Manley — oznajmił Hardie, szybko nachylając się nad nim, a potem prostując z wyrazem satysfakcji na twarzy. Roztarł sobie kostki. — Lula jak dzidziuś. To było niezłe zagranie z twojej strony, poczekać, aż puści farbę o Ainetsu.

— Lepiej go zwiążmy i zakneblujmy zanim przyjdzie do siebie — zasugerowałem. — Wygląda na naprawdę trudnego klienta.

— Bardziej przyda się tu odrobina środka nasennego — stwierdził z zamyśleniem Hardie. — Zastanawiam się, czy Ainetsu nie ma gdzieś tu trochę. Wiem, że ma pistolet gazowy. — Zaczął szukać po szafkach pod panelami i w końcu znalazł małą buteleczkę superchloru. Wylał kilka kropel na chusteczkę i przez chwilę przytrzymał ją na nosie i ustach nieprzytomnego mężczyzny. Na koniec oświadczył: — No! Teraz nawet nie trzeba będzie go wiązać. To utrzyma go w spokoju, zarówno mózg i ciało, jakieś osiemnaście, do dwudziestu czterech godzin.

— A do tego czasu — wtrąciłem, — powinniśmy być już daleko od Mad-Val, razem z naszymi „królewskimi" więźniami.

— Dokładnie — zgodził się Hardie. — To nasunęło mi jednak jeszcze jeden pomysł. Zabiorę ten superchlor ze sobą. Może nam to oszczędzić trochę problemów z tą parką łobuzów!

Nagle ponownie przebiegł przeze mnie dreszcz strachu. Co z Lindą i Ainetsu? Zakładając nawet, że nie zostaną złapane przez Policję Korytarzową, w jaki sposób się z nimi skontaktujemy?

— Nie wiem — przyznał z przygnębieniem Hardie. — To jest problem. — Nie mam pojęcia, w jaki sposób znalazły bezpieczną kryjówkę, na tym podziemnym pustkowiu. A do tej pory każdy bandyta z korpusu najemników będzie już szukał Ainetsu – i mnie także, zgodnie ze wszelkim prawdopodobieństwem, gdyż nie wyobrażam sobie, aby nasz śpiący przyjaciel zaniedbał wysłania ich na łowy, zanim wpadł na nas.

— Czy przychodzi ci na myśl jakieś miejsce, w którym mogły ukryć się dziewczyny? — nalegałem.

Potarł z namysłem podbródek.

— Hm-m-m. Może w którymś z magazynów, jeżeli udało im się ominąć strażników, bez wzbudzania alarmu? Albo może w czymś mieszkaniu? Kogoś, o kim wiedziały, że jest na służbie. Tam jednak byłyby w stałym zagrożeniu, że zostaną znalezione przy kolejnych przeszukaniach fonowizyjnych.

— A ile nam jeszcze zostało czekania na godzinę zero? — spytałem.

— Słucham? — odparł z nagłym zaskoczeniem. — Niemal zapomniałem. Ainetsu i ja, powinniśmy być tego popołudnia na służbie. — Spojrzał na swój chronometr i przez chwilę liczył w myślach. — Musimy przeczekać jakieś dziewięć godzin.

— Lepiej nie próbuj teraz wywieść w pole tych wszystkich strażników — poradziłem. — A już z pewnością nie, jeśli uważasz, że został wydany rozkaz schwytania ciebie.

Hardie usiadł i złapał się rękoma za głowę.

— Ale się władowaliśmy! — wyjęczał. — Jak w ogóle mogliśmy myśleć, że to nam się uda?

— Zawsze jest jakaś droga wyjścia — ponuro stwierdziłem. — Jeżeli tylko uda nam się ją znaleźć. Ale… ale ja również w tej chwili jej nie widzę. Ty i Ainetsu, żadne z was nie może pokazać się na korytarzach. Oboje jesteście oficerami, i dlatego jesteście za dobrze znani. Ale, Linda i ja, możemy. Nie ma żadnego rysopisu dwojga szpiegów z zewnątrz, a mamy na sobie mundury zwykłych szeregowych. Mało prawdopodobne, żebyśmy zwrócili na siebie uwagę. Tylko…

Hardie zaśmiał się ochryple.

— Tylko, że wy nie wiecie jak znaleźć drogę i co robić! A nawet, gdybyście wiedzieli, to jak my – Ainetsu i ja – mielibyśmy przejść straże do królewskiej części miasta? — Znowu zajęczał. — Ty i Darlington nie dacie rady zrobić tego wszystkiego sami. Poza tym, nie wiemy gdzie i jak nawiązać kontakt z dziewczynami!

Sytuacja wyglądała dosyć beznadziejnie i obaj siedzieliśmy ponuro zadumani nad nią, przez jakąś godzinę, albo dłużej. W końcu wpadłem na pomysł.

— Posłuchaj! — zawołałem. — A dlaczego po prostu nie odwrócić całej tej sztuczki, przy pomocy której mieliśmy przejść przez straże? Mieliście zaciągnąć mnie do nich za szyję, mówiąc, że pojmaliście jednego ze szpiegów. Dlaczego więc ja, w przebraniu lojalnego szeregowego, nie miałbym wmaszerować tam, prowadząc ciebie ze związanymi rękoma i trzymając cię na muszce?

Hardie zerwał się na nogi.

— Doskonałe! — entuzjazmował się. — Możemy to zrobić, ale…

— Co, ale? — spytałem.

— Zapominasz o dziewczętach. — Opadł z powrotem na fotel.

— Może one wpadną na to samo i pokażą się o godzinie zero pod windą do orlego gniazda. — Przyznaję, że nie miałem na to zbyt wielkich nadziei. Ale dopóki…

Hardie obrzucił mnie lekceważącym spojrzeniem.

— Może? Tak, może! A co, jeśli nie?`

— No cóż — odparłem ponuro, — w tym przypadku, nie pozostanie nam nic innego, jak tylko przeprowadzić sprawę samemu.

— I zostawić je własnemu losowi?

Wzruszyłem ramionami i skrzywiłem się.

— Hardie, to jest wojna — przypomniałem mu. — Nie możesz zrezygnować z bitwy, z powodu kilku ofiar. A co najmniej my, ze Straży Kosmicznej nie możemy. Jestem pewny, że komandor Darlington rozkazałaby nam kontynuować akcję.

Hardie wpatrywał się w drzwi na korytarz.

— Chyba masz rację — powiedział w chwilę przedtem, zanim zaczęły się otwierać. Poderwał się i skoczył do nich, ale zatrzymał się jak wryty, kiedy przeszła przez nie smukła postać.

— Kamień spadł mi z serca — oznajmiła Linda i uśmiechnęła się do nas, opierając się plecami o drzwi, żeby je zamknąć.

XVI

Widok całej i zdrowej Lindy bardzo mnie ucieszył, i ruszyłem w jej stronę z na wpół wyciągniętymi ramionami. Ona jednak osadziła mnie jednym spojrzeniem.

— Ma pan całkowitą rację, poruczniku Manley — oznajmiła chłodno. — W życiu Strażnika Kosmicznego nie ma miejsca na emocje, tam gdzie w grę wchodzi służba. Bardzo się cieszę, słysząc, że był pan gotów działać dalej beze mnie, w przypadku gdybym się nie pojawiła.

Hardie niemal udławił się w ataku kaszlu, słysząc tę uwagę.

— A więc słyszałaś o czym mówiliśmy? — zapytał poważnie, kiedy odzyskał kontrolę nad sobą.

— Naturalnie — odparła. — Musiałam podsłuchiwać. Nigdy nie weszłabym do jaskini lwa, nie wiedząc kto jest w środku.

— A Ainetsu? — zarzucił ja pytaniami. — Czy jest bezpieczna? Nie została aresztowana? Gdzie jest? Jak wam się udało wymknąć się policjantom? Co…

— Przerwać ogień! — roześmiała się Linda, rzucając się ze zmęczeniem na leżankę. — Po jednym pytaniu na raz, proszę! Tak, Ainetsu jest zupełnie bezpieczna. A przynajmniej na tyle bezpieczna, na ile można być w takiej sytuacji. Żadna z nas nie została aresztowana. Ona jest w części królewskiej. A my wcale nie wymknęłyśmy się policjantom. Po prostu obezwładniłyśmy ich gazem!

Szczęka musiała mi opaść, w kompletnym zdumieniu. Widziałem, że Hardiemu też, i próbował coś wykrztusić zupełnie zaskoczony.

— Być może najlepiej będzie, jeśli po prostu opowiem wam, co się stało? — uśmiechnęła się.

— Bardzo cię proszę — powiedział słabo Hardie.

Po tym, jak je zostawiliśmy, zdaje się, że dziewczyny bardzo długo siedziały i rozmawiały. A kiedy w końcu się zmęczyły Ainetsu rozłożyła dla Lindy nadmuchiwany materac, za swoją leżanką, po drugiej stronie od ekranu fonowizora. Obie bardzo sobie później bardzo gratulowały tej dalekowzroczności.

Zostały obudzone podobnie jak my, przez nadany o północy alarm i przeszukanie. Ale Linda po prostu leżała sobie cichutko na materacu, gdzie jej nie było widać ani słychać.

Potem szybko posprzątały pokój i wyślizgnęły się na korytarz. Ainetsu znała kilka znajdujących się w pobliżu mieszkań, które w tym czasie były puste, ponieważ ich właściciele byli na służbie. Poszczęściło im się i drzwi do jednego z nich okazały się być otwarte, mogły więc wejść do środka.

Usłyszały niewielką grupę poszukiwawczą, idącą korytarzem, po kolei zatrzymującą się przy wszystkich mieszkaniach. Ewidentnie jednak przeszukania były dosyć pobieżne wszędzie, poza kwaterą Ainetsu. Spędzili u niej bardzo dużo czasu.

W końcu kliknął zamek drzwi za którymi się kryły i do pokoju weszło dwóch strażników.

Reszta była już prosta. Zupełnie zaskoczeni strażnicy padli na podłogę zaraz jak tylko gaz z pistoletu Ainetsu syknął im w twarze. Linda delikatnie zamknęła za nimi drzwi.

Przez nerwowy kwadrans dziewczyny czekały, czujne i zdenerwowane, spodziewając się, że w każdej chwili koledzy pary strażników zauważą ich nieobecność i wrócą, żeby ich znaleźć. Ale nic się nie działo.

Po odczekaniu tych piętnastu minut, dziewczyny prześlizgnęły się z powrotem do mieszkania Ainetsu, gdzie Marsjanka przemieniła się nie do poznania. Farba do włosów, którą trzymała już od dawna, na wszelki wypadek, zmieniła jej złote włosy w czarne. Podobnie przefarbowała sobie skórę, zmieniając jej naturalny złoty kolor w bardziej śniadą karnację. Po tych operacjach, błękit jej oczu, nie był już tak wyraźny.

Potem, jak opowiadała nam Linda, zmieniła insygnia na kołnierzyku swojego munduru, stając się majorem w innej jednostce.

W teorii, kwatery królewskie w samym sercu miasta, były ostatnim miejscem gdzie mógłby próbować ukryć się uciekinier. Obie więc śmiało podeszły do bramy. Zastały tam sporo bieganiny i zamieszania, wielu oficerów przechodziło w tą i z powrotem. Ainetsu rozdzieliła się z Lindą i, sprawiając wrażenie absolutnej pewności siebie, przeszła przez straże, w ogóle bez żadnej kontroli.

— Tak więc, wróciłam tutaj, mając nadzieję, że możecie nas tu szukać, jeśli wam także udało się uciec przed pościgiem. Kim jest wasz zalany przyjaciel? — Kiwnęła głową w stronę nieprzytomnego Natsary, który oddychał ciężko w łóżku, w którym go położyli.

— To oficer dyżurny — Hardie wyszczerzył zęby w uśmiechu. — A w dodatku, najgorszy śmierdziel i najbardziej niebezpieczny człowiek w Mad-Val, za wyjątkiem samego Maddena. To szef jego szpiegów.

— Ale nie jest pijany — wtrąciłem. — Przyszedł tu trochę powęszyć, więc Steve mu przyłożył. Potem go uśpiliśmy. Nie obudzi się wcześniej, niż za parę godzin, kiedy nas już tu nie będzie – albo zostaniemy złapani.

Linda nachyliła się nad nim i przez chwilę mu się przyglądała. Odwróciła twarz, z wyrazem lekkiego niesmaku.

Miała właśnie coś powiedzieć, ale powstrzymała się, patrząc na nas z rozszerzonymi oczyma i nasłuchując.

W milczeniu wskazała kilka razy palcem na ścianę naprzeciwko drzwi do korytarza, wydawałoby się jednolitą ścianę, bez żadnych szafek i paneli.

W tej chwili, my również usłyszeliśmy lekki, stłumiony odgłos, który jej ostry słuch wychwycił przed nami, odgłos metalu szczękającego o kamień lub kompozyt.

I zanim którekolwiek z nas zdołało się ruszyć, od ściany odpadł tajny panel, odsłaniając szafę, z której dobiegł odgłos kroków i po chwili pojawił się w niej zaskoczony człowiek w szkarłatnym mundurze.

W mgnieniu oka w jego ręku pojawił się pistolet. Ale w tej samej chwili, smukła postać rzuciła się głową naprzód pod nogi obcego, i przybysz upadł z hukiem na podłogę. Steve i ja zwaliliśmy się na niego. Wykręciłem mu pistolet z ręki, podczas gdy Steve poczęstował go superchlorem.

— No cóż — oświadczyła z satysfakcją Linda, kiedy podnieśliśmy się wszyscy na nogi. — Nie będziemy chyba marnować na niego czasu, co? Ale, kto to w ogóle jest? I dokąd prowadzą stopnie z tej szafy?

— Zaczynam już rozumieć — z namysłem odparł Hardie. — Ten ptaszek, to ewidentnie jeden z psów Natary, który przyszedł, żeby go poszukać. Jednak, stopnie i szafa, to dla mnie coś nowego.

Zmarszczył brwi.

— Teraz jednak, kiedy trochę tak się nad tym zastanowiłem, uświadomiłem sobie, że ostatnio wielu podejrzewanych oficerów tajemniczo zniknęło, zaś… zaś nie tak dawno Ainetsu zmieniono kwaterę.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że to jest jakieś tajne przejście, z którego można wejść do każdego mieszkania przy tym korytarzu? — spytała go Linda.

— Tak musi być — odparł Hardie.

— No to, zobaczmy! — zasugerowała, kierując się do szafy. — Zbadamy to przejście i zobaczymy dokąd ono prowadzi!

XVII

Za szafą u góry stopni, znaleźliśmy wąskie przejście, ciągnące się jak okiem sięgnąć, słabo oświetlone padającą z sufitu poświatą. Zostało ono poprowadzone na tyle wysoko nad zwykłymi korytarzami, aby przechodzić ponad ich przecznicami. Wyłożone było jakimiś sztucznym tworzywem, tłumiącym odgłos kroków. Koło każdego mieszkania, znajdowały się schody prowadzące w dół, do szafy z panelowymi drzwiami, które podobnie jak u Ainetsu, nie mogły być otworzone ze strony mieszkania i o których prawdopodobnie żaden z właścicieli nie miał pojęcia.

Z wyciągniętą bronią pośpieszyliśmy dalej przejściem szybko i bezgłośnie. Jakieś ćwierć mili dalej, kończyło się ono kolejnymi drzwiami, które były otwarte.

Podeszliśmy do nich z największą ostrożnością, chociaż ze znajdującego się za nimi pomieszczenia, nie dolatywały żadne dźwięki. Okazało się, że jest ono poste. Jego ściany zawieszane były mapami, najwyraźniej korytarzy i mieszkań miasta, na części z nich paliły się małe lampki, których znaczenia nie znaliśmy. Stało tam także kilka pulpitów, wyposażonych w ekrany, panele z przełącznikami i mikrofony.

— Na wszystkie świętości, to legowisko Natsary — wyszeptał Hardie.

— Jego podwładny musiał się martwić o niego, kiedy nie wrócił z mieszkania Ainetsu, i przyszedł zobaczyć, co się z nim dzieje — zaryzykowałem twierdzenie.

— Czy jesteśmy gdzieś w pobliżu tej windy, która nas interesuje, jak myślisz? — spytała Linda.

— Musimy być w samym środku części królewskiej i niedaleko windy — odparł Hardie. — Natsara musiał mieć bliski dostęp do Maddena.

Zgłosiłem się na ochotnika aby to sprawdzić, wyślizgnąć się na główne korytarze i dokonać małego zwiadu.

— Mogą wiedzieć najwyżej, że w mieście są szpiedzy, ale nie mają opisu żadnego z nas — przekonywałem. — Wy zaś jesteście za bardzo znani, Steve. Poza tym, jako oficer przyciągasz większą uwagę, niż ja w tym mundurze.

Hardie dał mi krótki opis wyglądu części królewskiej, a specjalnie części otaczającej windę do orlego gniazda. Byłem więc pewien, że uda mi się ją zaleźć, nawet jeśli nie znaliśmy dokładnej lokalizacji pomieszczenia, w którym obecnie się znajdowaliśmy.

Przez cały ten czas Linda dziwnie mi się przyglądała.

— Idę z tobą — powiedziała, kiedy ruszyłem w stronę drzwi i szybko przejrzała swoją broń.

To zaowocowało kolejną dyskusją, którą w końcu wygrałem, wskazując, że gdybym został złapany, zostaliby wtedy we dwójkę, mając dużą nadzieję na pomoc Ainetsu. Natomiast jeśli Linda poszłaby ze mną i złapano by nas oboje, szanse udanego przeprowadzenia naszego planu, stałyby się naprawdę niewielkie.

Jeden z ekranów, dawał widok na korytarz i, wybierając moment kiedy nikogo nie było w pobliżu, spokojnie wyszedłem przez drzwi i ruszyłem, sprawiając wrażenie czymś zajętego, ale niczym pilnym.

Znalezienie windy, z jej bogato zdobionymi, solidnymi metalowymi drzwiami oraz gromadką czujnych strażników, nie zabrało mi wiele czasu. Była niecałe sto jardów od pomieszczenia, w którym pozostawiłem Hardiego i Lindę, za rogiem gdzie poprzeczny korytarz zmieniał się w przestronny plac. Po drodze minąłem kilka ubranych w szkarłat osób, ale wszyscy byli mocno zajęci swoimi sprawami i moje pojawienie się nie przyciągnęło jakiejś szczególnej uwagi. Nigdzie jednak nie było nawet śladu Ainetsu. Tak jak i Hardie zastanawiałem się, gdzie mogła się ukryć.

Przeszedłem koło windy, rozglądając się wokoło, ale starając się aby to nie było za bardzo widoczne, i kawałek dalej zawróciłem w jakimś korytarzu, w którym akurat nikogo nie było. Wróciłem tą samą drogą do centrali Natsary.

Linda wyglądała jakby kamień spadł jej z serca, ale udawała, że jej to nie obeszło.

Podczas mojej nieobecności nie wydarzyło się nic szczególnego. Natsara i jego podwładny, leżeli nadal w pokoju Ainetsu, gdzie, pod wpływem superchloru, mieli spać jeszcze przez parę godzin.

Obecnie było już blisko do godziny zero i ponownie przeanalizowaliśmy przygotowane plany, nawet w jeszcze drobniejszych szczegółach, a następnie wyruszyliśmy aby wypróbować nasze szczęście i odwagę.

Linda i ja przeszliśmy w pewnej odległości koło wejścia do windy, zauważyliśmy, że wokół kręciło się mniej oficerów i cywili.

— To pora posiłku, jak mówił mi Steve — powiedziała. — Nigdzie jednak jeszcze nie widziałam Ainetsu – a ty?

Marsjanka zniknęła jak kamień w wodzie.

W tempie i z odległości starannie obliczonej, aby znaleźć się przed drzwiami windy mniej więcej w chwili, kiedy będziemy przechodzili tam z powrotem Linda i ja, Steve ruszył naszym śladem. Wszyscy czekaliśmy na odgłos wybuchu bomby zegarowej, którą Ainetsu umieściła nad tunelem Wang-Ming, jako sygnał dla Ho-Mang, aby rozpoczęli swoją dywersję.

Usłyszeliśmy go, po pokonaniu kilku mil tunelu i skał, jako głuche tąpnięcie, przy tym zaskakująco głośne.

Pobiegliśmy w stronę drzwi windy. W całym mieście rozwyły się syreny alarmowe. Inni również biegli, w widocznym zmieszaniu, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że każdy zmierzał na wyznaczony mu posterunek.

Strażnicy koło windy wyglądali na zaskoczonych i lekko skonfundowanych.

Do naszych uszu dolatywały odległe krzyki i niezidentyfikowane hałasy.

Wtedy na nich uderzyliśmy. Linda ze mną, z jednej strony, a Steve Hardie z drugiej.

Zupełnie zaskoczeni, dwaj strażnicy padli pod naszym pierwszym atakiem. Hardie natychmiast ich zagazował i odwrócił się, by stanąć przed kolejną dwójką, która zbliżała się do niego.

Paru najemników, przebiegających przez plac zauważyło bijatykę i obrzuciło nas oszołomionymi spojrzeniami, ale ich nawyk dyscypliny był na tyle silny, że pobiegli dalej, na wyznaczone im stanowiska.

Przy pomocy naszych noży-kastetów, dyskretnie wcześniej założonych na pięści, Linda i ja zajęliśmy się dwoma strażnikami, którzy nas zaatakowali, a następnie odwróciliśmy się, aby pomóc Hardiemu. Nie było jednak takiej potrzeby. Potraktował ich już wcześniej swoim pistoletem gazowym i kaszląc wycofywał się tyłem z niewielkich chmury oparów, która unosiła się nad ich leżącymi ciałami.

Potem nacisnął dźwignię, ściągającą windę na dół.

Kilka kolejnych chwil, niosło dla nas największe zagrożenie. Zjazd windy zajmował trzy minuty. My zaś musieliśmy na nią zaczekać, pośród leżących ciał wartowników.

Hardie wpadł jednak na pomysł. Podczas gdy Linda i ja przyjęliśmy pozycje strażników przed drzwiami, Steve zaczął mocno krzyczeć, i

wymachiwać do wszystkich pojawiających się ludzi, wskazując na leżące postaci oraz w kierunku, z którego dochodził gwar i hałas.

Co zrozumieli z tego ci ludzie, nigdy dokładnie się nie dowiedzieliśmy, ale obrzucając go zaskoczonym spojrzeniem, ruszali w dalszą drogę, ponieważ w Legionie Maddena rozkazy oficerów, to nie przelewki.

Dopóki nie otworzyły się drzwi i nie wskoczyliśmy do windy, nikomu z tłumu nie wpadło do głowy, aby kwestionować całą sytuację. Dopiero potem rozległ się krzyk, zaś kilkunastu ludzi skręciło i pobiegło prosto w naszą stronę.

Zamknęliśmy im drzwi tuż przed nosem. Winda ruszyła w górę. Na razie byliśmy bezpieczni. Ale tędy już nie będziemy mogli wrócić.

Na górze był nasz cel, Madden i Valita. Ile będą wiedzieć o tym co się dzieje, do czasu kiedy dotrzemy do ich orlego gniazda? Czy nasz ślizgacz rakietowy wyląduje o czasie – i nikt zbyt szybko nie zauważy jego lądowania? Czy uda nam się uciec z naszymi jeńcami, i nikt nie rozpyli nas na atomy? Wszystkie te rzeczy zawisły na cienkim włosku.

Hardie zajęczał.

Linda i ja ostro odwróciliśmy się do niego. Położył rękę na ścianie wagonika windy, opierając się na niej, jakby miał się przewrócić. A na jego twarzy pojawił się wyraz udręki i bólu.

— Ainetsu! — zaszlochał. — Co się z nią stało? Co się z nią stało?

XVIII

Przyśpieszając przez część swej drogi do góry, ponad milę na minutę, po pewnym czasie winda stopniowo zaczęła tracić szybkość i w końcu stanęła cicho na wierzchołku Szczytu Siedemnaście, dwanaście tysięcy stóp ponad miastem.

Drzwi otworzyły się delikatnie i po drugiej stronie elegancko umeblowanego i oświetlonego poprzez świecące ściany foyer, zobaczyliśmy zasłonięte kotarą wejście do komnat Maddena.

Na wpół oszołomiony uchyliłem się przed cienkim jak ołówek promieniem dezintegratora, który strzelił spoza kotary, przecinając powietrze koło mego ucha z trzaskiem pioruna. W odpowiedzi promień z pistoletu Hardiego stopił część kotary, lecz odsłonił tylko znajdujący się za nią okrągły fragment skały orlego gniazda.

Hardie nieustannie kierował swój promień za drzwi. Madden i Valita odskoczyli do tyłu, chowając się przed nami. Nasza trójka rzuciła się przez foyer, rozbiegając się z dala od siebie.

Ja skierowałem się na lewo. Linda zwinnie prześlizgnęła się w prawo, zaś Hardie znalazł się na wprost drzwi, pewną ręką celując w wejście.

— Mamy cię, Madden! — zawołała Linda. — Rzuć broń i poddaj się! Chyba, że wolisz, abyśmy cię postrzelili i zabrali to co z ciebie zostanie!

Jedyną odpowiedzią ze znajdującego się za drzwiami pomieszczenia, było wywarczane paskudne przekleństwo.

— A więc, dobrze! On sam się o to prosi! — oznajmiła Linda i popędziła mnie gestem ręki, sama skradając się wzdłuż ściany, do krawędzi drzwi. Zrobiłem to samo, z drugiej strony. Powoli, ostrożnie, Hardie szedł prosto przed siebie.

Myślałem, że pomysł Lindy polega na tym, by cała nasza trójka rzuciła się do pomieszczenia za drzwiami w tym samym czasie, lecz w różne strony. Ale nagle przełożyła pistolet do lewej dłoni i wsunęła ją za krawędź drzwi do środka pokoju, strzelając. Przeciągnęła promieniem po pomieszczeniu, celując lekko w dół.

W odpowiedzi błysnął strzał, wytrącając jej broń z ręki. Ogień urwał się raptownie z wyciem bólu, kiedy pochwyciłem przelotnie widok stopy Maddena i mój pistolet plunął pod ostrym kątem do środka pokoju, niszczycielskim wyładowaniem.

Kiedy trafił ją mój wystrzał, stopa po prostu przestała istnieć, a w podłodze za nią zrobiła się dziura. Nieprzytomny Madden, padł z łomotem na podłogę, ukazując się w całej okazałości. Gdzieś z pomieszczenia doleciał mnie ostry pisk Vality.

Steve i ja, z Lindą tuż za naszymi plecami, wpadliśmy do pokoju, aby po chwili stanąć jak wryci ze zdumienia.

Wystraszona dziewczyna, z twarzą wykrzywioną w zwierzęcej furii, stała cała drżąc z rękoma wysoko uniesionymi do góry. W swych królewskich szatach, wyglądała dosyć głupio. Za nią, z uśmiechem przyciskając lufę pistoletu do jej kręgosłupa, stała Ainetsu!

Szyba z monotransu w jednym z szerokich okien, była wycięta.

Oczy Steve'a kiedy przez moment patrzył na Ainetsu, mówiły bardzo wiele. Ale, gdy się odezwał, powiedział tylko:

— Cześć, Netsy!

Nie wydaje mi się, żeby jej oczy były całkiem suche, kiedy odparła:

— Niech wasza trójka lepiej zajmie się Maddenem. Chyba chcecie mieć go żywego, co? Za parę minut, wykrwawi się na śmierć. Ja przypilnuję tej wężycy.

Zaimprowizowaliśmy na nodze Maddena opaskę uciskową, chociaż już wcześniej stracił tyle krwi, że sam siebie pytałem w myślach, czy nawet transfuzja będzie w stanie go uratować. Valita przez cały ten czas wylewała z siebie strumień piskliwych bluźnierstw i inwektyw, wykręcając się szaleńczo w uścisku Ainetsu oraz histerycznie ignorując możliwość, że jej pogromcy mogą krótkim ruchem palca na spuście, posłać ją na tamten świat.

Zaufanie Hardiego do Marsjanki było tak duże, że zajmując się nogą Maddena, ani na chwilę nie przerwał, aby obejrzeć się do tyłu.

— No dobrze — z westchnięciem powiedział Hardie, kiedy się wyprostowaliśmy. — Załatwmy tę sprawę do samego końca.

Valita bardzo sprawnie związana i zakneblowana wiła się i gulgotała na podłodze, gdzie Ainetsu bezceremonialnie ją rzuciła.

— Bez wątpienia, dzięki tobie udało się uratować sytuację, tu na górze — mówił dalej Steve. — Skąd się tu wzięłaś? Kiedy nie pokazałaś się koło windy, myśleliśmy już, że…

— Że mnie złapali? Niemal tak było. — Ainetsu uporządkowała swój mundur, który po jej szarpaninie z Valitą znalazł się w lekkim nieładzie. — Nasza wędrówka do części królewskiej i rozłączenie się z Lindą, były efektem nagłego impulsu i wtedy wydawało mi się to takie proste. Później jednak zorientowałam się, że niełatwo będzie mi znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę. Kręciłam się po korytarzach, dopóki nie wyczułam, że zaczynam ściągać na siebie uwagę, zbyt często pojawiając się w tych samych miejscach.

— I wtedy dokonałam prawdziwego przełomu. Akurat byłam w pobliżu windy, kiedy zmieniali się strażnicy. Przez chwilę, koło wejścia do niej zebrało się ich nawet z dziesięciu, czy dwunastu. Toczyła się między nimi jakaś gorąca dyskusja, na temat walki gandików, jutro wieczorem. Nie zwrócili uwagi, że prześlizgnęłam się za nich. A więc podjęłam dalsze ryzyko.

— Wskaźnik windy pokazywał, że jest ona na dole. Szybciutko i cichuteńko uchyliłam troszeczkę jej drzwi, na tyle aby wślizgnąć się do środka i delikatnie zamknęłam je za sobą. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale nikt mnie nie zauważył. Wjechałam więc na górę.

— Ale — zdumiewała się Linda, — co z Maddenem i Valitą? Nie mogłaś przecież dostać się do orlego gniazda tak, by cię nie zauważyli!

— To było jeszcze zanim przyjechali tu na górę — wyjaśniła Ainetsu. — Potem częściowo przecięłam szybę tego okna nożem, tak by można ją lekko odchylić i przecisnąć się na zewnątrz. Kiedy wepchnęłam ją z powrotem na miejsce, kotary zasłoniły ślady rozcięcia. A ja, po prostu, poczekałam na zewnątrz. Widzicie, to okno jest po drugiej stronie od widoków na sąsiednie szczyty. Później, kiedy usłyszałam wrzawę w środku, jak najszybciej wycięłam całą szybę. I… i oto jestem!

— Dobra robota! — pogratulowała jej Linda.

W tej chwili jednak Steve sapnął i wskazał ręką:

— Winda! — zawołał. — Jedzie na gorę! Ci z dołu chcą nas złapać! Ale ze mnie idiota! Trzeba było ją zablokować!

— Nie ma sposobu, by ją zatrzymać? — ostro rzuciła Linda.

— Nie!

— A więc wynosimy się z naszymi jeńcami na dwór! I to szybciutko!

Popędziła do okna. Z zewnątrz słychać było cichy syk i łopotanie powietrza.

— Ślizgacz rakietowy! — zawołała. — W samą porę! — i odwróciła się do nas.

Steve już pokonał połowę drogi przez pokój, dźwigając na plecach nieprzytomnego Maddena. Ainetsu miała problemy z podniesieniem Vality, która desperacko wyrywała się i wykręcała.

— Pomóż jej! — zakomenderowała Linda, biegnąc z bronią w ręku do miejsca, w którym się ustawiłem, przed drzwiami windy.

— Niech mnie diabli! — ostro do niej zawołałem. — Ty to zrób! Ja zostanę tutaj, żeby zatrzymać tych ludzi!

Oczy Lindy rozbłysły i wyprostowała się gniewnie.

— To rozkaz! Kto w końcu tutaj dowodzi, u diabła?

— W tej chwili, ja! — ryknąłem.

Ku jej zdumieniu, przekręciłem ją do tyłu i gwałtownie popchnąłem w kierunku Ainetsu zmagającej się z Valitą. I natychmiast odwróciłem się ponownie w stronę windy. Wskaźnik pokazywał, że drzwi się mają zaraz otworzyć.

Potem otworzyły się i…

XIX

Z windy wysypało się niemal dwudziestu Legionistów, którzy od razu się na mnie rzucili.

W stłoczonej masie, jaką stanowili, czterech czy pięciu z nich padło na twarz, straszliwie okaleczonych, kiedy promień mojej broni przeciął dokładnie środek całej grupy.

Na chwilę się cofnęli, a potem rozproszyli się na boki i ponownie ruszyli na mnie. Odskoczyłem do tyłu i znowu wystrzeliłem z pistoletu. Tym razem odpowiedziały mi również wystrzały, zaś foyer wypełniło się rozbłyskami wyładowań i ogłuszającym hukiem.

Nie myślałem, działałem wyłącznie instynktownie. Nie miałem pojęcia, jakim cudem nie zostałem jeszcze trafiony.

W pewnej chwili coś mi chrupnęło pod stopą. Wydaje mi się, że to promień dezintegratora wyrwał mi spod niej kawałek podłogi. Upadłem. Ponownie popędzili w moją stronę.

Nagle jednak pojawiły się nowe wyładowania, dźgające, oślepiające promienie, tym razem spoza mnie i dwie szczupłe nogi przekroczyły mnie, leżącego na podłodze. Linda wróciła po mnie.

Momentalnie Legioniści zmieszali się i poszli w rozsypkę, co nie było niezwykłą reakcją nawet wśród wyszkolonych żołnierzy, w czasie walki na dezintegratory na bliską odległość. Sam nie mniej byłem oszołomiony. Instynktownie jednak odpełzłem do tyłu i podniosłem się na nogi. Wydaje mi się, że pośród ogłuszających detonacji, usłyszałem głos Lindy, który kazał mi iść dalej.

— Szybko… na statek… więźniowie… nie ma czasu… szansa… bierz broń…

W chwilę później biegliśmy już, potykając się, z powrotem przez orle gniazdo i dosłownie zanurkowaliśmy przez okno, w czekające na nas ręce, które równie dosłownie wrzuciły nas do ślizgacza rakietowego.

Niewielki stateczek wystartował z potężnym szarpnięciem.

Osłabiony, z trudem łapiąc oddech podciągnąłem się do góry i rozejrzałem na boki. Dwa szczyty, na których znajdowały się posterunki obserwacyjne, rozbłysły nagle reflektorami, koncentrującymi się początkowo na orlim gnieździe, a które następnie uciekły szybko spod nas i szaleńczo zaczęły omiatać niebo.

Kilka razy złapały nas w swe oślepiające snopy. Ale nasz ślizgacz wykonywał uniki, wykręcał się i wirował w najbardziej szalonym powietrznym tańcu, jaki kiedykolwiek widziałem. Jakimś cudem dezpromienie w nas nie trafiły.

Nasze dwa działka błyskały ogniem przez cały czas i baterie na wierzchołkach same znalazły się w wirze płonącego piekła. Strzelanie stało się dla nich bardzo trudne.

Kiedy znaleźliśmy się już na sporej wysokości, poza efektywnym zasięgiem dział, zacząłem odzyskiwać orientację. Załoga ścigacza rakietowego, złożona była z Pete'a Gorgasa i Bulla Dunstana, wraz z dwoma najlepszymi inżynierami „Orła".

— Może nie jesteśmy najlepszymi pilotami ślizgaczy na tej starej kosmicznej łajbie — wyjaśnił przepraszająco Pete, — ale stary twierdzi, że jesteśmy najostrzejsi. A więc, to nas wysłał, żebyśmy was stamtąd zabrali.

— Z pewnością okryliście się chwałą, po tym jak usmażyliście te działa na górze — przyznałem. — Jak tam nasi więźniowie?

— Jeśli chodzi o Maddena, to myślę, że przeżyje. Jeśli wytrzymał do tej pory, to przy odrobinie opieki medycznej, powinien z tego wyjść. Dziewczyna ciągle próbuje wygryźć sobie drogę na wolność zębami. Ale nic jej z tego nie przyjdzie.

— Scudder już potrafi skłonić ich do mówienia, kiedy dostarczymy ich na „Orła" — rozmyślałem. — Potem załadujemy ich zapasik deltinium... i wtedy...

Wtedy przede mną stanęła Linda, trzymając się pod boki. Spojrzała na mnie wściekłym wzrokiem i powiedziała:

— No i?

— Bardzo... bardzo przepraszam — wymamrotałem, — że odepchnąłem panią z drogi, tam w orlim gnieździe, ale...

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, padłbym trupem na miejscu.

— Posłuchaj! — oznajmiła, delikatnie, ale z niesamowitą jadowitością. — Ty niesubordynowany lumpie kosmiczny! Powinnam cię za to zniszczyć. Ale...

Bez żadnego ostrzeżenia opadła na fotel obok mnie i położyła mi głowę na ramieniu.

— Ale za bardzo cię kocham — wyszeptała.

KONIEC